

KAMENIA

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: *Lubartów leży koło Lublina* • *A Zwierzyniec dalej* • *Wczoraj, dziś i jutro nauczycielstwa lubelskiego* • *Sukces we Wrocławiu* • *W sprawie piegży i gzężółki* • *W stronę młodych* • *Rozmyślania po galowym koncercie* • *I in.*

U MYCH PRZYJACIÓŁ BUKINISTÓW

EDWARD WROCKI

Otwórzcie mi księgarnie wszystkich krajów świata,
Chcę się w nie rzucić, wrosnąć, zatopić i szperać,
Z książek chcę mieć pokarm, napój, w książki się ubierać,
Spać w księgach i śnić księgi.

Hieronim Kajstewicz (1812—1873)

WIADOMĄ jest rzeczą, że przedmiot żyje niekiedy znacznie dłużej od swego pana, użytkownika, i że dla dalszej pożytecznej służby społeczeństwa musi od czasu do czasu zmienić właściciela. Różne okoliczności mogą być powodem tej migracji: podział państwa — zwłaszcza kiedy spadkobiercy mają inne zainteresowania zawodowe lub przyzwyczajenia życiowe — licytacje z wyroków sądowych, przeniesienie się do innej, odległej, miejscowości, nagłe wzbogacenie się lub bankructwo, a częstokroć po prostu chęć pozbycia się już niepotrzebnych rzeczy, stosów „papierzysk” pisanych i drukowanych, zawadzających pustych butelek itp.

W takich oto wypadkach przychodzi do głosu kupiec-pośrednik, który swoją uwagę skupia wyłącznie na rzeczach używanych, na starzyźnie, i właśnie z jej wędrowek czerpie środki do życia.

Podwórca dużych miast rozbrzmiewają od rana do wieczora nawoływaniem „handel — handel!” Otwiera się nagle lufcik i w rezultacie jakiś drobny interes jest ubity. Oczywiście rzeczy idą za bezcen, bo transakcja odbywa się w atmosferze zniechęcenia do sprzedawanych „rupści” i zadowolenia, że ktoś po nie przyszedł.

Dość powiedzieć, że w Warszawie przedwojennej wszelakie ruchomości zarówno z nędznych izb, jak i z lokali wytwornych, dzień w dzień były znoszone i zwożone na sławny Pocięjów, który przedstawiał sobą niezwykle oryginalny i specyficzny widok. Tak zwane papierzyska, drukowane (książki, czasopisma, nuty) i pisane (nieraz bardzo wartościowe archiwalia), codziennie tam napływały w wielkiej ilości. Łatwo się domyślić, że ja, jako stary, zagorzały zbieracz muzykaliów, stale przeżywałem na Pocięjowie, należałem, że tak powiem, do jego typów. Ode mnie poszedł po Warszawie osławiony „piątaczek”, którym zdobyłem względy sprzedawców. Nie mieli zazwyczaj czasu, ochoty ani miejsca na rozkładanie nut, woleli cały wór sprzedać na wagę lub po prostu „na oko”, bez studiowania zawartości, która jednak jako całość, wobec zasobności działu nutowego w moich zbiorach, często mi się nie nadawała. Makulatura szła przed wojną po 8—10 groszy za kilo, skusiłem więc handlarzy wspomnianymi 5 groszami za każdy w y b r a n y zeszyt nutowy, których przeciętnie łdźie na kilo ze 20 sztuk. Handlarze ci, dzięki niemal codziennemu widzeniu się ze mną i „robieńiu” na mnie, jak się wyrażali, „wielkiego interesu”, darzyli mnie niby przyjaźnią, jednak mojej polityki przez długie lata zrozumieć nie mogli i nawet odnosili się do niej ze słabo maskowaną ironią. Nim ja, po powrocie z Petersburga w r. 1922, zjawiłem się na Pocięjo-

wie, nuty, od dziesiątków lat, nie stanowiły tam artykułu godnego specjalnej uwagi i, dostarczone na Pocięjów, już po 15—30 minutach przechodziły masowo na własność któregoś z hurtowników makulatury, a od niego wszystko szło „na papier”, gdyż handel nutami używanymi wówczas nie istniał w Warszawie, zbieraczy muzykaliów nie było. Do wyobraźni hurtownika przemawiał tylko gruby tom: opera, operetka i jeszcze szkoła były wycofywane z lekceważonej ma-

sy (zawierającej nieraz arcydzieła muzyki, rękopisy autorskie lub egzemplarze z własnoręcznymi dedykacjami kompozytorów). Te grubaski, wraz z książkami lepszymi „na oko”, zasilają częściowo handel antykwaryczny przy Świętokrzyskiej i uliczne wózki książkowe, reszta zaś, w formatach większych, wędrowała do sklepików na zawijanie mydła lub wiktualów, a w formatach mniejszych — wagonami na przemiał do papierni, na produkcję papieru rotacyjnego.

U handlarzy makulaturą wyrobiłem sobie przywilej przetrząsania całego składu, z tym, że za wybrane kawałki zapłacę dwa razy drożej niż sklepikarka, której się kładzie papier na wagę bez wyboru — „jak leci”.

Ileż to razy wypadło mi godzinami przewracać bez rezultatu zakurzone sterty prawdziwej makulatury i odchodzić, wysłuchując na pożegnanie zgrzybliwych docinków zawiedzionego sprzedawcy!

W związku z moją działalnością kolekcjonerską poznałem dużo ciekawych typów wśród wózków książkowych.

(Dokończenie na str. 4—5)

Konkurs trwa ANNA TATARKIEWICZ

Do eliminacji wojewódzkich VII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego stanęło w Lublinie 128 indywidualnych uczestników oraz trzy teatry poezji. Przesłuchania trwały trzy dni, po 8 do 10 godzin dziennie. Do jury weszli przedstawiciele instytucji najbardziej zainteresowanych konkursem: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Związku Artystów Scen Polskich, Związku Literatów, Stowarzyszenia Dziennikarzy, polonistyki uniwersyteckiej, Wojewódzkiego Wydziału Kultury; obecna była również przez cały czas przedstawicielka Kuratorium. Uczestnicy reprezentowali wszystkie kategorie przewidziane regulaminem konkursu: młodzież szkolną, młodzież akademicką, amatorów, zawodowców oraz teatry poezji. W wyniku eliminacji przyznano w różnych kategoriach 13 nagród i odpowiednio więcej wyróżnień. Pięciu indywidualnych uczestników zakwalifikowano do udziału w eliminacjach centralnych.

UCZESTNICY

Ogromną większość uczestników (97 osób) stanowiła młodzież szkolna; w szkołach Konkurs przybiera w istocie charakter masowy. Za sukces uważa można także stawienie się wcale sporej grupy amatorów (26 osób); gorzej, iż w tej grupie nie było ani jednego autentycznego mieszkańca wsi, i tylko jeden jedyny pracownik fizyczny. Narzuca się wniosek, że idea konkursu nie dotarła do świadomości Związku Młodzieży Socjalistycznej ani też Związku Młodzieży Wiejskiej. Zupełnie niepojętym zjawiskiem jest znikomy udział młodzieży studenckiej, i to w Lublinie, gdzie studenci stanowią tak wysoką odsetek ludności... Do eliminacji stanęły tylko trzy osoby z KUL, z pozostałych wyższych uczelni — nikt. Złe się dzieje w państwie duńskim!

REPERTUAR

W tym roku organizatorzy konkursu postawili jako cel popularyzację literatury współczesnej. Regulamin za-

dał od uczestników uwzględnienia w swym programie przynajmniej jednego utworu współczesnego, przy czym pod „współczesny” rozumiano całokształt twórczości powstałej po pierwszej wojnie światowej aż do ostatnich dni.

W stosunku do ubiegłych lat w repertuarze uczestników nastąpił pewien przełom, ale — powiedzmy sobie szczerze — przełom raczej polowiczny. Bezwzględna przewaga miały utwory wchodzące w skład obowiązkowej lektury szkolnej, a więc Broniewski, Tuwim, Gałczyński, Żeromski, Nałkowska („Medaliony”). Poezja i proza dnia dzisiejszego, zwłaszcza operująca nowszymi środkami ekspresji — w praktyce dla uczestników konkursu jeszcze nie istnieje. Leśmian był, ale w ograniczonym i nienajciekawszym wyborze, Jasnorzewska (mimo tak licznego udziału kobiet) zabrzała tylko raz, i to w prozie; na konto wyboru nauczyciela (technikum geodezyjne, tak, tak! — a nie żadna ze szkół ogólnokształcących!) trzeba było zapisać Norwida, a z współczesnej poezji typu intelektualnego — Herberta. Nikt nie pokusił się o Różewicza! Szkoda, że ambitny i reprezentujący wysoki poziom wykonawstwa zespół LDK nie wyszedł poza Staffa z „Ballad”, a więc Staffa historycznego, jakkolwiek znakomity poeta swym testamentem, „Wiklina”, wpisał się w poczet nowatorów. Dziwne, że jedno z najbardziej zasłużonych liceów lubelskich nie potrafiło ukazać swym uczniom szerszego horyzontu poetyckiego niż młodzieńcza twórczość Słowackiego. Całkiem źle, gdy z ust recytatorów dysponujących nawet dobrymi warunkami słuchaliśmy po prostu grafomanstwa.

Zgodnie z regulaminem „Zadaniem konkursu jest podnoszenie kultury mowy ojczystej poprzez krzewienie zamiłowania do recytacji artystycznej, poszerzenie kręgu miłośników litera-

(Dokończenie na str. 2)



Exlibris Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Drzeworyt Adama Młodziejowskiego.

O książce

Nieodzowną bronią jest książka
w walce o duszę człowieka idącego
w przyszłość.

JAN WIKTOR

Żadne młode polskie pokolenie
nie było tak szczerze obdarowane
dorobkiem całej postępowej ludz-
kości, jak właśnie twoje.

E. J. OSMANCIK

Książka, twórcza myśl i świadomość
ludzka są silniejsze od bomby
atomowej.

ILJA ERENBURG

Arcydzieła minionych epok mają
to do siebie, iż trzeba się nauczyć
je czytać.

TADEUSZ BOY-ZELENSKI

Kto czyta — żyje wielokrotnie.
Kto zaś z książkami obcować nie
chce — na jeden żywot jest skazany.

JÓZEF CZECHOWICZ

Każda książka, jak głos podany
przez radio, dociera tylko do tych,
którzy mają tę samą długość fali.

JAN PARANDOWSKI

Powiedz mi, co czytasz, a powiem
ci, kim jesteś.

PRZYSŁOWIE



Litort Tadeusza Cieślewskiego (syna). Ilustracja do opowieści Marii Bechczy-Rudnickiej „Malerza raweńskiego owieczek dwanaście”.

KONKURS T R W A

(Dokończenie ze str. 1)

tury, poezji, prozy, doskonalenie i upowszechnianie sztuki recytatorskiej".

W moim przekonaniu zadania te w pełni zrealizować można tylko w oparciu o repertuar wielkich walorów literackich oraz w oparciu o repertuar współczesny. Powiem trując: nie ma sztuki bez nowatorstwa. Jeśli recytacja ma być sztuką, a nie rzemiosłem i rutyną, i ona musi być nowatorska. Oczywiście, że można — i trzeba! — w sposób nowatorski interpretować nieprzemijające arcydzieła dawnych lat, ale z natury rzeczy nowy styl interpretacji kształtuje się w nawiązaniu do tego, co i jak mówi współczesność. Powiem więcej: poezję epok minionych w całej pełni ocenić i docenić może tylko ten, kto czuje i rozumie poezję dnia dzisiejszego, kto z dzieł dawnych potrafi dobyć to, co w nich jest trwałe, a więc także — dzisiejsze i jutrzejsze. Bo nie wszystko co dzisiejsze, musi być trwałe, ale we wszystkim co trwałe — jest także coś dzisiejszego. Nie jest przypadkiem, że jedną z najwyższych lokat w konkursie zdobyła młodzianka uczestniczka z Poniatowa, która sięgnęła po niebanalny repertuar współczesny i umiała zinterpretować go w sposób może nie pozbawiony usterek technicznych, ale za to wolny od wszelkiej tradycyjnej, narzuconej czy przyswojonej maniery, swoisty, naprawdę autentyczny i tym samym — nowatorski.

Stałe poszerzanie repertuaru jest nieodzownym warunkiem rozwoju recytatorów. W tegorocznych eliminacjach mieliśmy kilka przykładów, jak recytatorzy dużej kultury i sprawności technicznej stanęli w miejscu, a nawet cofają się właśnie dlatego, że nie potrafili sięgnąć po nowe treści intelektualne i emocjonalne, które zmusiłyby ich do pogłębienia środków ekspresji. Jedyną drogą rozwoju każdego artysty jest wzbogacenie własnego wnętrza, a u recytatora widomym znakiem tego wzbogacenia wewnętrzne jest właśnie wybierany przez niego repertuar.

Oczywiście mało kto potrafi rozwijać się w nieskończoność, każdemu dana jest pewna miara, poza którą nie uskokczysz. To jest sprawa bolesna; u amatorów o tyle może mniej bolesna niż u zawodowców, iż nie muszą oni działać „dla chleba” — wyczerpawszy swe możliwości twórcze. Amatorzy mają większą swobodę odejścia i czasem (powinni umieć odejść, ale nim odejdą — powinni też wypróbować swe siły do końca, bo — jak powiada Saroyan — „Możemy zawsze dojść dalej niż nam się zdaje”).

NAGRODY

Wyłonić grupę najciekawszych — to sprawa stosunkowo łatwa, ale ustanowić wśród nich jakąś sensowną hierarchię wartości — to już diabelnie trudne. Przede wszystkim, mimo licznych kategorii mających zapewnić równość, jest w Konkursie daleko idąca nierówność startu. Najgorzej z amatorami. W tej rzekomo jednorodnej grupie — mamy do czynienia z ludźmi najróżniejszego wieku, środowiska, wykształcenia. Jak na przykład mierzyć jedną miarą pracownika fizycznego po szkole podstawowej i naukowca — pracownika wyższej uczelni albo chłopczyka świeżo po maturze i czterdziestolatnią „matkę dzieciom”? Albo szkolny teatr z miasteczka powiatowego i zespół młodzieży studenckiej i po studiach, mającej za sobą zaplecze dużego ośrodka kulturalnego? A nawiązać do tego ujednoliconej kategorii „młodzieży szkolnej”: 15-letni chłopak to w większości wypadków po prostu dziecko, 15-letnia dziewczyna to często pod każdym względem dojrzała kobieta... I co przede wszystkim uwzględnić przy klasyfikacji? Sprawność techniczną? Wnikliwość? Ambicję? Talent? Autentyzm? A jak oceniać i honorować wkład instruktorów? Do tego wszystkiego trzeba jeszcze dodać różnorodność gustów i pewne „strzyżwienią profesjonalne” jurorów, z których każdy ciągnie w swoją stronę. Stąd w praktyce przyznawane nagrody są wynikiem jakiegoś kompromisu i prawdopodobnie żaden z członków naszego lubelskiego jury wzięty z osobna nie zaakceptowałby całości wyników, mimo że ogłoszono je pod długotrwałych deliberacjach, toczonych z troską o maksymalny obiektywizm. Toteż przyznane nagrody i wyróżnie-

LUBARTÓW, miasteczko powiatowe, liczące 7 tysięcy mieszkańców, znajduje się w odległości 24 km od Lublina i w pewnym stopniu — w kręgu oddziaływania kulturalnego stolicy województwa. Mimo to w czasach wojenbrojowych był zupełnie zaniedbanym partykularzem, jak zresztą inne miasteczka i osady Lubelszczyzny. Dowiadujemy się o tym z powieści Klemensa Junoszy, pisanych w końcu XIX w. Błoto na ulicach, drewniane domki zapadające się w ziemię, czasem herbatki towarzyskie, a w wyjątkowych okolicznościach — wieka zabawa fantowa w parku z orkiestrą i bufetem. Oto sylwetka „dobrej, małej miasteczki”, otoczonej lasami i piaszczystą glebą.

Z tej wiekowej szarzyzny i martwoży wyrywa się Lubartów po roku 1918, chociaż już wcześniej dawał o sobie znaki życia. Zawdzięczać to należy inicjatywie i ofiarności wielu społecznych jednostek, dla których działalność kulturalna stała się nie tylko poczuciem obowiązku, ale i potrzebą wewnętrzną.

W spisie działaczy lubartowskich za okres 1901—1939 r. czytamy:

Lubartów leży koło Lublina

JÓZEF LULEK

„Berger Edmund — prezes T-wa Miłośników Sztuki, reżyser i kierownik chóru.

Junczys Jan (Weteran 1863 r.) — architekt powiatowy, budowniczy gmachu Teatru Wielkiego w Lublinie. Rafalski Józef — kompozytor, zbieracz piosenek ludowych.

Sliwa Wanda — pracownica spółdzielczości, literatka, amatorka sceny. Tracz Ferdynand — redaktor „Echa Ziemi Lubartowskiej” (p. Sliwina — „Nazwiska lubartowskich społeczników”).

Obok zmiany oświetlenia naftowego na elektryczne, zabudowania części ulic w mieście oraz zbudowania kilku ważnych obiektów, jak Szkoła powszechna (dziś Szkoła 11-letnia), Społeczny Dom Kultury (dziś PPRN), Miejska Łaźnia itp. — powstał w Lubartowie już po I wojnie światowej szereg zespołów amatorskich wykazujących ożywioną działalność kulturalną (chór — „Lutnia”, Tow. Miłośników Sztuki, zespół teatralny, jednocielniczo, czasopisma i inne).

We wrześniu 1955 r. powstało w Lubartowie założone z inicjatywy prof. dr Leona Halbana przez Lubelski Oddział PTH Koło Miłośników Historii. Placówka ta postawiła sobie za cel budzenie zainteresowań regionalnych, wydawanie publikacji, organizowanie muzeum. Kolo — przekształcone na Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Lubartowskiej w r. 1958 — po przewyższeniu szeregu trudności rozwija swoją działalność, zdobywa sobie uznanie społeczeństwa i poparcie

nia traktować należy nie jako idealne równowagi osiągnięć i zasług, tylko raczej jako drogowskazy: tędy droga.

WNIOSKI RÓŻNE

Niektóre wypływają z naszych dotychczasowych uwag: a więc konieczność „włączenia się” w Konkurs takich organizacji społecznych, jak ZMW, ZMS, ZSP. A więc potrzeba dalszej pracy nad upowszechnieniem repertuaru — ten postulat zarówno pod adresem przyszłych uczestników, jak — przede wszystkim może — instruktorów, nauczycieli oraz ich władz nadrzędnych.

Poza tym nasuwa się sporo desideratów natury raczej organizacyjnej. Bardzo prozaicznie-finansowe: w tym roku Wydział Kultury rozporządził na organizację konkursu sumą 30.000 zł. To bardzo mało. Stąd konieczność drakońskich oszczędności, stąd na przykład — trzeba było „odsłać” zaraz po przesłuchaniu pozalubelskich uczestników eliminacji. A to jest równoznaczne z zupełnym prawie zaprzeczeniem szansy pedagogicznej konkursu. Bo dopiero wysłuchawszy całości uczestnicy mogliby odczytać wymowę przyznanych nagród i wysnuć z tego stosowne wnioski dla własnej pracy. Także sąd konkursowy nie musiałby w pośpiechu podawać cząstkowych, prowizorycznych wyników po każdym przesłuchaniu, lecz mógłby

W dalszym ciągu zamieszczamy odpowiedzi na Konkurs „Życie kulturalne mego ołoczenia”, ogłoszony w nrze 3 „Kameny” (jak zaznaczyliśmy — pozytywne i negatywne).

Rozwój gospodarczy i przemysłowy idzie zwykle w parze z rozwojem życia kulturalnego. Można to uzasadnić na przykładzie Lubartowa, który w ciągu ostatnich paru lat (po r. 1956) zmienił się nie do poznania. Obok uruchomionej już Fabryki Materiałów Budowlanych, domy, bloki mieszkalne, gmachy użyteczności publicznej dosłownie wyrastają jak przysłowio- we grzyby po deszczu. Internat gotowy czeka na młodzież, dwupiętrowa szkoła w tym roku otworzy swe podwoje. Nawet pałac Sanguszków został już częściowo oddany do użytku. Miasteczko szybko się rozwija, nowe potrzeby rosną. W wyglądzie zewnętrznym dużą zmianę na lepsze dał wojewódzki konkurs czystości. Nie zakończył się uzyskaniem nagrody, jak twierdził korespondent jednego z pism

władz, a obecnie otrzymało osobowość prawną przez zatwierdzenie statutu lubelskich. Tak władze miejskie, jak i społeczeństwo wykazują coraz większą troskę o zamiatanie ulic, o skwerki, zieleń, porządek.

Wydaje mi się, że światło ma jakiś czarodziejski wpływ na rozwój oświaty i w ogóle życia kulturalnego. Takim wydarzeniem zapowiadającym (według wszelkich znaków na niebie i ziemi) nowy okres kultury Lubartowa jest zainstalowanie jarzeniowych latarni wzdłuż ul. Lubelskiej na przestrzeni ok. 2 km. Te poetyczne latarnie zabłysły dn. 20 marca br. i stały się dla mieszkańców Lubartowa wielkim dobrodziejstwem.

Nareszcie pod względem oświetlenia w centrum miasta jesteśmy na poziomie!

A kultura?

Pojęcie życia kulturalnego w dzisiejszej rzeczywistości jest tak szerokie, że trudno je uchwycić w jakiejś ramy. Czy do tej dziedziny zaliczyć inwestycje, budownictwo, życie codzienne, zwyczaję, wygląd zewnętrzny miasteczka, mieszkańców, czytelnictwo, odczyty, imprezy? Niewątpliwie czynniki materialne stwarzają warunki dla zaspokojenia potrzeb duchowych społeczeństwa, dla rozwoju kultury. Jednak inicjatywa jednostek społecznych, wyrażających potrzeby ogółu, jest sprawą istotną. Od nich zależy pomyslny rozwój kultury.

Takim przykładem jest amatorski ruch regionalny. Może on podnieść po-

(Dokończenie na str. 8)

A ZWIERZYNIĘC DALEJ*

JAN OGORKIEWICZ

Jedzą, piją, hulki palą,
Tańce, hulanki, swawola,
Ledwie karczmy nie rozwalą.

Karczmy? Hala! Karczmy, to czasy okresu minionego, czasy jaśniepaństwa i ich wernych służek arendarzy dzierżawiących karczmy u szlachty gwoli rozprowadzania chłopów trzymanyh w poddaństwie.

Chłop mógł, na ile go stać było, pić i zapijać się, ale tylko i wyłącznie w karczmie stojącej na gruntach jego dziedzica i zaopatrywanej w okowitę i różne alembiki z gorzelnii dworskiej swojego pana. Dziś ta sprawa nieco inaczej się przedstawia. Dziś pij, bracie pijaku, gdzie cię łaknienie ogarnie, a najwięcej w sławetnych gospodach ludowych.

Zakłady te są niezmiernie starannie zaopatrywane we wszelkiego rodzaju nektary alkoholowe przez Gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, Tak „Chłopskiej”, beskurcyjo! Bo chłop potęgą jest i basta! Niechże ma gdzie popić rzetelnie. Ileż to razy słyszy się na zebraniach spółdzielców utyskiwania na brak wielu przedmiotów domowego użytku, niezbędnych w gospodarstwie wiejskim, jak to: widel, łańcuchów, guo- dzdzi, a i pieczywo bywa dostarczane nie w porę, ale na brak wódki nikt nigdy się nie skarży.

Ustawa z dnia 10.XII. 1959 r. o zwalczaniu alkoholizmu w art. 3, p. 2 zabrania podawania napojów zawierających więcej niż 18% alkoholu w kawiarniach i cukierniach.

Może ta ustawa gdzie indziej obowiązuje, ale nie w Zwierzyńcu. Bo oto w nowo wybudowanym gmachu Gminnej Spółdzielni na piętrze mieszczą się biura, a na dole duże sale; wielka — ze sceną i mniejsza — ze stolikami dla gości. Tuż obok znajduje się ładnie zaopatrzone bufet nazywany kawiarnią. Jest to przybytek do popijania, służący towarzystwu „wyższego rzędu”. Tu w czasie zabaw, a niemal że i co wieczór, schodzą się „swoi”, no i... okazji nie zabraknie do przepłukania gardła.

Ciekawie, że tu właśnie nikt się nie liczy z art. 2, p. 4 ani z art. 7, p. 1 wyżej wymienionej ustawy.

A jest przecież jeszcze jedna gospoda, ale tam przynajmniej jeść dobrze dają, wydają obiady, które sobie konsumenci chwala. Jest to zastawa kierownika.

Trzy przybytki rozprowadzania mieszkańców Zwierzyńca. Czy nie za dużo trucizny? Dokąd my dążymy? Gdzie kres? Gdzie opamiętanie? Wiele krzywdy moralnej i fizycznej wyrządza pi-

* Tytuł redakcyjny

(Dokończenie na str. 8)

średnie rozeznanie kulturalnego „terenu”. Może w ogóle LDK, dysponując licznym zespołem pracowników, niż Wydział Kultury, mógłby przejąć przynajmniej część spraw organizacyjnych (w tym roku jedyny organizator dwójł się i troił, by sprostać swym zadaniom).

Sprawą bardzo istotną wydaje się „dopatrzenie” eliminacji powiatowych: część (na szczęście nieznaczna) przesłuchiwanych uczestników żadną miarą nie kwalifikowała się na eliminacje wojewódzkie; ich przybycie było tylko stratą czasu i pieniędzy. A co najgorsze — w kilku wypadkach była to wina nie samych uczestników, ale nadanego im, z gruntu fałszywego kierunku. Nie chcę „czarno na białym” piętnować powiatów, które zajęły „pierwsze miejsce od końca”, ale opinie słuchających były tu jednomyślnie i Wydział Kultury oraz LDK wyciągną stąd zapewne odpowiednie wnioski — w sensie udzielenia tym powiatom pożądanej opieki i porady, a także starannego obełbania tam na przyszły rok eliminacji powiatowych.

Bo przecież konkurs trwa — ci, którzy za rok chcą mieć w nim osiadłą nędzę jeszcze lepage, a przynajmniej nie gorsze, już teraz muszą zabrać się do roboty. A przede wszystkim — do czytania, do czytania, do czytania...

Anna Tatarkiewicz

Wczoraj dziś i jutro nauczycielstwa lubelskiego

JERZY STARNAWSKI

Artykuł Romana Rosiaka pt. „Nie rezygnować z chlubnej tradycji” — w 6 (196) nrze „Kamieny” z dnia 31 marca br. rozpoczął cykl poświęcony zagadnieniom szkolnictwa w Lubelszczyźnie. Artykuł, niewątpliwie interesujący i w wielu punktach słuszny, stawia problemy, które domagają się szczególnego omówienia.

Przypomnieć trzeba, że praca naukowa nauczycieli, o której pisze Rosiak, ma bardzo starą tradycję, i to — wskutek zaborów — tradycję różnorodną. Inaczej działa się przed pół wiekiem w Galicji, a zupełnie inaczej w Kongresówce. W Galicji większą część nauczycieli gimnazjalnych miały doktoraty. Zresztą zdobycie tego stopnia nie było tam zbyt trudne, ale nie o to chodzi. Ważne jest, że wielu nauczycieli-doktorów wypełniło w swej pracy zawodowej słowa wypowiedziane podczas promocji doktorskiej: „spondeo ac polliceor (me) studiis humanitatis impigro labore cultum et provecturum...” a władze szkolne otaczały te ich wysiłki opieką. Prawie każde gimnazjum drukowało niemal co roku Sprawozdania, w których nauczyciele zamieszczali rozprawki naukowe ze swych dziedzin, a z rozpraw tych powstawały nawet księgi zbiorowe, jak np. księga Słowackiego w 1909 r. lub Księga Kraśnińskiego w 1912.

Po pierwszej wojnie często krytykowano owe „sprawozdania”, piętnowano ich przyczynkarski charakter. Nie jest to zupełnie sprawiedliwe. Szereg prac ze Sprawozdań gimnazjalnych wykrzymuje zestawienie z ówczesnymi publikacjami naukowymi z kręgów uniwersyteckich. Jeśli nawet — choć nie będzie to słuszne — odmówimy nauczycielowi z głębokiej prowincji prawa zabierania głosu w sprawach ogólnych, to i wówczas zagadnienia metodyczne i dydaktyczne, jak również wszelkie badania regionalne, będą zawsze leżały w kompetencjach nauczycieli dobrze przygotowanych do swego zawodu, chociażby pracowali w najbardziej zapadłej miejscowości.

Władze oświatowe ówczesne wymagały od nauczycieli aktywności naukowej. Ona warunkowała awans, przeniesienia do większych miast, niżki godzin, otwierała możliwość habilitacji itp. Habilitacja dawała prawo do bezpłatnego wykładania na uniwersytecie w wymiarze 1 godziny tygodniowo przez 1 trymestr w ciągu 2 lat, uprawniała za to do ogromnej niżki godzin w pracy szkolnej. Docent prywatny pracujący w szkole obowiązany był tylko do 8 godzin lekcyjnych tygodniowo.

Pracy naukowej indywidualnej sprzyjało zorganizowane życie nauki. Bardzo rozwinięta była sieć towarzystw naukowych (Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, Polskie Towarzystwo Językoznawcze, Polskie Towarzystwo Filologiczne, Polskie Towarzystwo Historyczne, Polskie Towarzystwo Filozoficzne itp.). Siedziby centralne tych Towarzystw mieściły się we Lwowie, ale oddziały nie tylko w Krakowie, nie tylko w Przemysłu czy w Tarnopolu, ale nawet w takich miastach jak Brzeżany lub Myślenice.

Zupełnie inaczej w Królestwie. W dziejach Lublina Hieronim Łopaciński odegrał w swoim czasie tę rolę, którą spełnia zwykle: zespołowa katedra uniwersytecka, biblioteka naukowa i towarzystwo naukowe.

W dwudziestolecie międzywojennym wyrównały się nieco różnice między Królestwem a Galicją: osłabła aktywność naukowa w małych miasteczkach galicyjskich, wzrosła — przynajmniej w większych miastach — na terenie Królestwa. W szkolnictwie Lubelszczyzny mamy do zanotowania wiele momentów chlubnych, zarówno w czasach tworzenia szkoły polskiej, jak i w latach międzywojennych i powojennych. Kol. Rosiak zestawiał listę

„nauczycieli, którzy zapisałi się w historii literatury lub nauki” — listę na pewno niepełną, i przypuszczalnie każdy autor artykułu pisanego naprzód podałby listę równie niepełną. Pominięcia można kol. Rosiakowi darować z wyjątkiem dwu: Ludwika Kamykowskiego i Zygmunta Kukulskiego — dwu ludzi, którzy przez lat kilkanaście sterowali Towarzystwem Przyjaciół Nauk w Lublinie (prezes i sekretarz generalny). Budując życie kulturalne Lubelszczyzny, posuwali nieustannie naprzód własną pracę naukową, dochodząc wreszcie do katedr uniwersyteckich: Zygmunt Kukulski, profesor KUL, zapisał się zwłaszcza jako wydawca źródeł do dziejów szkolnictwa; Ludwik Kamykowski, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, był jednym z wybitniejszych w Polsce znawców literatury barokowej.

Długi byłby rejestr prac naukowych ogłoszonych — bodaj w dwudziestolecie międzywojennym — przez nauczycieli lubelskich, ale nie chodzi tu o suchy rejestr. Ważniejsze są imponowalności, które nie dadzą się ująć w cyfry. Wybitny nauczyciel może pozostawić po sobie trwały pomnik nie tylko publikacją drukowaną. Inicjatywa zorganizowania zbioru eksponatów jest także niemalą zasługą. ZOO zamojskie np. jest dziełem nauczyciela gimnazjalnego, p. Milera. Podobnie Muzeum Chełmskie, które założył i któremu trud całego życia poświęcił nauczyciel, Kazimierz Janczykowski. Obecnie w stadium organizacji jest muzeum w Lubartowie — dzieło nauczycieli gimnazjalnych: Józefa Lulka i Karola Skarucha. Zorganizowanie i prowadzenie teatru szkolnego czy dobrze prosperującego kółka przedmiotowego uczniowskiego, urządzenie wystawy, konkursu recytatorskiego, kursu motoryzacyjnego, pracowni modelarskiej itp. — to osiągnięcia niewątpliwie, tym zaszczytniejsze, że na szarym tle pracy nauczycielskiej zbyt szybko przemijają i otoczenie nie dostrzega często zasług inicjatorów. Niewielu lublińskich, którzy zwiedzieli w 1948 roku wspaniałą międzyszkolną wystawę Mickiewiczowską w sali Sądu Wojewódzkiego w Lublinie — pamięta o niej, a prawie nikt nie wie, że było to dzieło jednej tylko nauczycielki — mgr Małgorzaty Szewczykówny.

Udział w towarzystwach regionalnych jest rzeczą w pracy nauczycielskiej ogromnie cenną i zasługuje na jak największe poparcie. Na tym odcinku obok towarzystw działających w Lublinie da się zanotować chlubną kartę Towarzystwa Miłośników. Książki w Zamościu. Nawiasem dodać można, że dzieje kulturalne Zamościa w dwudziestolecie to temat do pięknej monografii naukowej. A ileż ośrodków kulturalnych zapomnianych! Urzędów — miasto niegdyś powiatowe, w XIX wieku zdegradowane do roli osady i dziś nie zaawansowane w hierarchii — przez szereg lat stałe kierowało do gimnazjów i na wyższe studia wielką falę młodzieży. Było to zasługą jednej nauczycielki tamtejszej szkoły podstawowej, p. Decjuszówny. Interesujący to temat do socjologicznej monografii, na którą Urzędów najzupełniej zasługuje. Drugi podobny ośrodek — to Bychawa, teren długoletniej działalności społecznej i oświatowej ks. Kwiatkowskiego, tamtejszego proboszcza, którego uczeń, Adam Luterek, zorganizował po wojnie gimnazjum w Bychawie i był jego pierwszym dyrektorem. Przykłady można by mnożyć.

I wreszcie — last not least — promieniowanie osoby nauczyciela. Interesujące byłoby stwierdzenie np. ilu geografów zawdzięcza swój kierunek studiów wpływowi prof. Kosibę i prof. Zinkiewicza w gimnazjum w Puławach, ilu polonistów wychowali w Lublinie prof. Kamykowski i p. Szeleźniakowa, ilu matematyków Józef Bogucki.

Nauczycielstwo Lubelszczyzny ma piękną kartę z czasów okupacji niemieckiej. Wśród dziesięciu przedstawicieli elity rozstrzelanych w Wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku na Zamku Lubelskim znalazło się dwu dyrektorów gimnazjów: Moniewski i Krzyżanowski. Długa jest lista nauczycieli umęczonych w obozach koncentracyjnych i chlubne wyniki tajnego nauczania prowadzonego w Lublinie i na lubelskiej prowincji. Jeden fakt godzi się wydobyc z zapomnienia: Tomaszowi Sauterowi, ostatniemu przed wojną dyrektorowi gimnazjum im. Vetterów, podano do podpisania Volkslistę, wytykając mu jego niemieckich przodków, na co odpowiedział tetmajerowskim wierszem *Długo synka:*

*Synu mój mały! Obcozbrzmiałe
nazwisko będziesz nosił —
wiedz, że twój dziad na polskiej łacie
trałow krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wyczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem!...*

Obok stron dodatnich, obok niewątpliwych zasług, są i czarne karty dziejów szkolnictwa na Lubelszczyźnie. Już w dwudziestolecie międzywojennym nastąpiło — zwłaszcza w czasach jędrzejewiczowskich — pewne obniżenie poziomu nauki w szkołach. Obok osiągnięć tego okresu trzeba jako niewątpliwą minus podkreślić niedostateczne zainteresowanie władz zdobywaniem przez nauczycieli wyższych kwalifikacji. Nie stosowano zniżek godzin dla docentów, a stopień docenta prywatnego — o ile nie uzyskał on katedry, docentury etatowej lub... etatu starszego asystenta — pozostawał w dalszym ciągu „prawem do bezpłatnego wykładania na uniwersytecie”. Zbyt rzadko udzielano wybitnie zdolnym nauczycielom urlopów płatnych na wyższe studia specjalne. Dałoby się tu zacytować przykładowo dwa zwłaszcza nazwiska osób, którym praca w szkole podcięła skrzydła twórczości naukowej: Zofia Bielska, polonistka, i Alojzy Paciurek, chemik. I jeśli w tym czasie Krzyżanowski, Kukulski, Kosiba czy Kamykowski wnieśli swój trud chałupniczego warsztatu naukowego habilitacją i wejściem na katedry uniwersyteckie, to była to garstka tylko, bardzo szczupła, tytanów woli, którzy cel swój osiągnąć postanowili za każdą cenę. I dopiero przeczadzenie kadr uniwersyteckich w czasie drugiej wojny umożliwiło wejście w szeregi profesorów wyższych uczelni lubelskich Feliksowi Araszkiewiczowi, Anieli Chałubińskiej, Janowi Dobrzańskiemu, Irenie Krzeczowskiej, Stefanowi Kunowskiemu, Janinie Pliszczyńskiej, Stanisławowi Papierkowskemu. Do nich dołączyli się niebawem ci, którzy w pracy naukowej jako nauczyciele szkół lubelskich startowali dopiero po wojnie: Tadeusz Brajerski, Józef Kuranc, Marian Nagnajewicz, Bronisława Lindertówna, Tadeusz Wilgał, Zofia Demianowiczowa, Włodzisław Zinkiewicz i inni. Z ułatwień w postaci urlopów czy zniżki godzin korzystała tylko znikoma część wymienionych pracowników nauki.

Jak w latach powojennych wykorzystano i uporządkowano stan rzeczy pozostały w spadku po Polsce przedwojennej? Hasło upowszechnienia oświaty uznają wszyscy bez wyjątku, nie można jednak nie dostrzegać, że

w wyniku zwiększenia liczby uczelni wszystkich stopni po wyniszczeniu kadr przez wojnę nastąpiło znaczne obniżenie poziomu. Często spotykamy w prasie zestawienia liczbowe stanu szkolnictwa i oświaty Polski Ludowej w porównaniu z Polską przedwojenną. Niesłusznie nie mówią one nic o poziomie poszczególnych szkół. Na wielu konferencjach nauczycielskich słyszy się narzekanie na poziom młodzieży, która ze szkół podstawowych b. często nie wynosi przygotowania do dalszej nauki, po maturze nie jest przygotowana do studiów wyższych. Są to trudny. Jeden z doświadczonych dyrektorów szkół średnich z terenu Lubelszczyzny na konferencji z udziałem przedstawicieli szkół wyższych z takimi zwrócił się do nich słowami: „Wy, profesorowie uniwersytetu, powstajecie na nas, my z kolei moglibyśmy mieć pretensję do szkolnictwa podstawowego, ale pod waszym adresem rzucam pytanie: jakie kadry wy nam przysyłacie?”

Krzywdą młodzieży szkolnej obecnej jest pozbawienie jej dwunastego roku nauczania, krzywdą są złe programy i liche podręczniki. Młodzież przychodząca na studia humanistyczne jest do nich zupełnie nieprzygotowana: brak jej znajomości historii i literatury polskiej, brak znajomości łaciny i języków nowożytnych. Zacytować tu warto słowa Juliusza Kleinera: „Lichy program, liche podręczniki i dobry nauczyciel to kombinacja lepsza niż dobry podręcznik, dobry program i zły nauczyciel”.

Wśród nauczycieli lubelskich byli i są jednostki wybitne. Na ogół jednak dobór kadr w kuratorium lubelskim nie świadczy o trosce, by właściwych ludzi kierować na właściwe miejsca. W ramach szkoły jednolitej (jednolitość ta zresztą nie jest przeprowadzona w pełni: wiele szkół podstawowych i licealnych istnieje osobno) należy dbać o to, by klasy starsze pozostawały pod opieką nauczycieli z pełnymi kwalifikacjami, przy czym cezura między klasą VII a VIII stanowczo jest zbyt późna: winno się dążyć do tego, by w klasie VII, a z czasem w VI i V młodzież miała nauczycieli coraz wyżej kwalifikowanych.

Niewątpliwym osiągnięciem powojennego ministerstwa oświaty są liczne kursy wakacyjne dla nauczycieli i masowe wysyłanie nauczycieli szkół średnich na zjazdy naukowe ich specjalności oraz stały instruktaż ośrodków metodycznych. Błędne było tylko założenie nie odstępowania w najdrobniejszych nawet szczegółach od

(Dokończenie na str. 4)

Sukces młodych polonistów z UMCS we Wrocławiu

W dniach od 25 do 28.IV.1960 obradował we Wrocławiu IX ogólnopolski Zjazd Polonistów, poświęcony twórczości Juliusza Słowackiego, literaturze Młodej Polski i XX-lecia międzywojennego. W Zjeździe tym wzięły udział ośrodki polonistyczne, a m. in. studenci z Lublina. Z UMCS pojechało 15 studentów, pod kierownictwem prof. dr Janiny Garbaczowskiej i dr Romana Rosiaka. KUL reprezentowany był przez 11 studentów oraz prof. dr Irenę Słowińską, prof. dr Czesława Zgorzelskiego i mgr Andrzeja Paluchowskiego. W ciągu 4 dni obrad uczestnicy wysłuchali 18 referatów, wśród których nie zabrakło prac lubelskich, w tym 3 z KUL i 1 z UMCS. Na Zjeździe duży sukces odnieśli młodzi poloniści z UMCS; referat pt. „Metaforyka wierszy Awangardy krakowskiej”, napisany przez studenta IV roku UMCS, Jerzego Bartmińskiego, otrzymał najwyższą nagrodę, w wysokości 2000 zł, ufundowaną przez Ministra Oświaty. Równorzędną nagrodę, ale zespołową, którą ufundował Minister Szkolnictwa Wyższego, otrzymali studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego: Anna Micińska i Marta Wyka za referat pt. „Wybrane problemy genezyjskich pism Słowackiego”. Wśród ogólnej liczby 9 nagrodzonych referatów znalazł się także referat studenta z KUL — Jerzego Murawskiego, który za pracę pt. „O elementach filmowych w „Zazdrości i medycynie” M. Choromańskiego” otrzymał nagrodę RO ZSP we Wrocławiu w wysokości 750 zł. Trzeba też wspomnieć o niezwykle aktywnym udziale delegatów lubelskich w dyskusjach nad referatami. Sami studenci z UMCS zabierali głos 12 razy, przy czym 2 głosy zostały wyróżnione dyplomami za wysoki poziom naukowy i kulturowy wypowiedzi. W sumie Zjazd pozwolił na ocenę poziomu i dorobku poszczególnych ośrodków i — co nie jest bez znaczenia — wykazał, że nie musimy się wstydzili naszych studentów, wprost przeciwnie, winniśmy się cieszyć z ich poważnych osiągnięć. Warto jeszcze dodać, że we Wrocławiu w czasie obrad zapadła także decyzja, na mocy której X Ogólnopolski Zjazd Młodzi Polonistów odbędzie się w 1962 roku w Krakowie w ramach jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tematem prac zjazdowych będzie powieść polska XIX i XX wieku. Miejmy nadzieję, że do tego Zjazdu poloniści lubelscy przygotują się jeszcze staranniej, by podtrzymać dobre tradycje i powrócić do rodzinnego miasta z nagrodami.

Wczoraj, dziś i jutro

(Dokończenie ze str. 3)

programu, w którym nauczyciel nie miał prawa nawet zmienić ustalonej kolejności lekcji. Indywidualność nauczyciela zabijano w sposób zupełnie bezwzględny, co dla nauczycieli młodych, z tzw. dyplomem I stopnia (3-letnie studia na wyższej uczelni) było zupełnym załamaniem ich myślenia i przekreśliło możliwość rozwoju dydaktycznego.

W okresie po-październikowym znikły najbardziej jaskrawe nonsensy, ale daleko jeszcze do pełnego uleczenia stosunków.

Nauczyciele szkół lubelskich nadal — co prawda w porównaniu z okresem przedwojennym dość nielicznie — publikują. Kol. Rosiak wyliczył kilka tylko nazwisk, z których jedno wyróżnić trzeba szczególnie: imponujące są osiągnięcia Henryka Zwolankiewicza, który, po kilku książkach wydanych przed wojną, ogłosił sumienny Stan badań etnograficznych nad Lubelszczyzną i dał poważny wkład do księgi zbiorowej Hieronima Łopacińskiego i biblioteki jego imienia w Lublinie 1907—1957. Obok niego przypomnieć trzeba nie wymienionego przez Rosiaka Janusza Świeżego, autora pracy o stroju krzeczowski.

Niestety nauczyciele nie związani z wyższymi uczelniami w Lublinie są pozbawieni możliwości publikowania i władze szkolne prawie zupełnie nie interesują się ich publikacjami. Istnieje w Lublinie szereg towarzystw naukowych. Aktywny udział nauczycieli w tych towarzystwach należy na ogół do rzadkości. Inicjatywa pewnej decentralizacji towarzystw: zakładania kół bodaj w takich miastach jak Zamost i Chełm napotykała zawsze na odpór: co na to powiedzą władze szkolne? Niektóre towarzystwa naukowe prowadzą własne wydawnictwa lub myślą o nich i mogłyby zaopieko-

wać się pracami naukowymi nauczycieli; obok tego z uczestnictwem w towarzystwach naukowych płynnie korzystać czynnego i biernego włączenia się do akcji odczytowej i orzeczowania informacji o nowych zdobyczach nauki.

Warto by też pomyśleć o wznowieniu sprawozdań gimnazjalnych, zwłaszcza jeśli będą miały wyraźny charakter regionalny, jak np. pożyteczna publikacja: Lubartów i Ziemia Lubartowska. Pewne osiągnięcia dała się tu zanotować: Artur Iskrzycki ogłosił popularną monografię o Zamostcu, dr Bolesław Zimmer pracuje na zlecenie Prezydium MRN w Chełmie nad monografią tego miasta. Na monograficzne opracowania czy też na księgi pamiątkowe czekają poszczególne szkoły. W ostatnich latach dwie szkoły Lubelszczyzny otrzymały takie monografie. Tu właśnie pole pracy dla nauczycieli, pole do mecenatu władz szkolnych, które przy awansowaniu nauczycieli, przy przenoszeniu na wyższe stanowiska winny uwzględnić ich osiągnięcia w tej dziedzinie, ich pracę w towarzystwach naukowych, ich dokształcanie się.

Interesując się jak najbardziej dorobkiem naukowym nauczycieli, nie należy go wszakże wysuwać ponad walory dydaktyczne. W dwudziestolecie uczył w szkołach lubelskich nauczyciel z doktoratem UJ, autor prac drukowanych przez Polską Akademię Umiejętności, mający za sobą ważne odkrycie naukowe. Pomimo to każda jego godzina lekcyjna była całkowicie stracona dla uczniów wskutek klasycznego lenistwa w opracowywaniu, a właściwie nie opracowywaniu lekcji.

W Lublinie wobec istnienia kilku uczelni wyższych aktualne jest zagadnienie kadry uniwersyteckiej. Kol. Rosiak pisze: „Tragicznym nieporozumieniem jest przyjmowanie do pracy w

wyższych uczelniach ludzi, którzy nigdy nie pracowali w szkole”. Dużo w tym racji, pomimo zbyt skrajnego sformułowania. Zdarzają się jednak profesore uniwersyteckiej, którzy świetnie wychowują swoich asystentów. Nie wadzi tu przypomnieć stanowisko Juliusza Kleinaera w tej sprawie: „Uniwersytet nie zamkniętych wrót wielkiemu uczonemu dlatego, że uczone ten nie otarł się o szkołę. Ale przy obsadzaniu katedr (...) caeteris paribus godzi się pierwszeństwo przyznawać tym, którzy wykazali się moga pracą nauczycielską”. Po raz drugi zacytowano na tym miejscu słowa uczonego, dobrze znającego Lublinowi, uczonego, który w licznych wypowiedziach na tematy pedagogiczne stał się po prostu klasykiem wśród naszych myślicieli w zakresie pedagogiki. Jego pisma pedagogiczne, rozproszone nawet w codziennej prasie, zasługują na osobne wydanie książkowe.

Obok słusznie poruszonej przez kol. Rosiaka sprawy konieczności stażu nauczycielskiego u młodych pracowników uniwersyteckich, wskazać można na inną jeszcze bolączkę: traktowanie asystentury jako wygodnej posady

zabierającej znacznie mniej czasu niż praca w biurze lub w bibliotece. W konsekwencji prowadzi to do mechanicznego traktowania prowadzonych ćwiczeń, do ich „odbębniania” w sposób nieodpowiedzialny bez należytego przygotowania.

Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego określiło czas trwania pracy na jednym szczeblu w hierarchii uniwersyteckiej. W praktyce jednak zarządzenie to nie weszło w życie. Uczelnie starają się nie zwalniać asystentów, których po upływie określonego czasu nie można awansować, lecz zatrzymują ich nadal na poprzednich stanowiskach. Powstaje przez to szkodliwy typ „wiecznego asystenta”.

Bolączek oświatowych w środowisku lubelskim można by wyliczyć jeszcze wiele. Jedyną i najlepszą drogą do uzdrowienia stosunków jest dokładna, wszechstronna i bardzo sprawliwa ocena zdolności, postawy, nerwu naukowego, społecznego i dydaktycznego poszczególnych nauczycieli przez kompetentne władze i konsekwentne wprowadzanie w życie wyników oceny uzyskanej tą drogą.

Jerzy Starnawski

U MYCH PRZYJACIÓŁ BUKINISTÓW

(Dokończenie ze str. 1)

Większość ich, jak sympatycy dla mnie Herszek, Berek, Koper, Abram Złotykamień, łatwo przechodziła od handlu słowem drukowanym na inny towar sezonowy: jabłka, ogórki i pomarańcze itp. Jedynie Józef Nowodczyński uparcie trzymał się książek, które kochał namiętnie. Dużo czytał, rozeminał się dobrze w towarze i żądał niestety drogo, ale gdy miał w nuty-antyki, na które nie było odbiorcy, bo nikt z jego klientów nie śpiewał ani grał, zawsze ofiarowywał je z uroczystą miną do „zbiorów muzycznych Edwarda Wrockiego!” Wobec takiego nastawienia Nowodczyńskiego starożytności nutowych u niego nie kupowałem. Tak samo było i z wycinkami artykułów o muzyce z dawnych periodyków. Mój przyjaciel wódkarz Nowodczyński zwykł był mówić: „Nie żądają tego... Dranie! Nawet nie chcą spojrzeć!... Panu trzeba oddać za taniochę, to już wolę podarować, bo dobrą rzecz pan robisz”. Oczywiście starałem się zrewanżować jak mogłem temu ciekawemu człowiekowi, który się gnieździł w ruderze na Rybakach.

U Fiszmiana, co był przy Grzybowskiej, różnymi czasami nabyłem moc skarbów. Pewnego razu natrafiłem na wielotysięczny, pierwszorzędny zbiór nut, leżących w alfabetycznym porządku (według autorów), mimo iż został przywieziony ze strychu jednego z domów ulicy Wiejskiej. Wielce zaintrygowany, w żaden sposób nie mogłem dociec, po kim był ten nadzwyczajny zbiór muzyki europejskiej. Udało mi się ustalić jedynie, że zgromadzony przed pierwszą wielką wojną, pochodził z Petersburga. Figurujące na nutach stemple przeważnie dawnych firm tamtejszych każyły wnioskować, iż ktoś przywiózł zbiór do Warszawy, przybierając do kraju w drodze repatriacji, i może wkrótce zakończył tu życie. Zbiór przeleżał szereg lat bezpiecznie w domu, gdzie zamieszkiwał jego właściciel, nim dozorca nie sprzedał nut na papier.

Innym razem natrafiłem na prawdziwą kopalnię nut po większej części pisanych lub też trudnych do ustalenia drukowanych: mnóstwo luźnych kart próbnych odbitek pozwalało przypuszczać, że materiały te pochodziły od kogoś, kto pracował w zakładzie nutorytowniczym. Z pisanych nut, zwolonych w straszny nieładzie, złożyłem cierpliwie, nie żałując pracy, bo poznałem rękę Miłstera, prawie wszystkie karty autorskie rękopisu opery „Śnieżka” Rimskiego-Korsakowa. Gdy znakomity kompozytor nasz Witold Maliszewski (uczeń R-K.) oglądał moje zbiory, był wprost oszołomiony widokiem oryginału tego arcydzieła, będącego chlubą muzyki rosyjskiej. Innym razem znowu natrafiłem na rękopisy paru pieśni Moniuszki w tonacji innej niż ta, w której są wydane.

Kiedy indziej w tym samym źródle papierów przeznaczonych na makulaturę wpadły mi do rąk drobne rękopisy „ojca, opery polskiej” Karola Kurpińskiego i szereg ciekawych wiadomości o koncertach z jego udziałem w Zborze Ewangelickim. W jakimś miesiącu zaledwie po śmierci świętego naszego aktora Mieczysława Frenkla wygrzebałem w makulaturze dość znaczny plik nut stanowiących jego własność, wraz z autografami dedykowanych mu kompozycji, lub zaopatrzonych w napisy ofiarodawce przez autorów, z okazji uroczystości jubileuszowej Frenkla. Oczywiście kupilem czym prędzej ten skarb, placąc dwukrotnie więcej niż sklepikarki, i nie mogłem pojąć, jakie wyrachowanie miała rodzina artysty, wyzbawiając się pamiętek za marne grosze, skoro ja z drugich już rąk nabyłem całość za kilka złotych.

Wspominam z sympatią pewnego szamasa, który trzymał towar w obsługiwanej przez siebie bóżnicy, gdzie odbywaliśmy nasze transakcje.

Cenne materiały po kompozytorach: Gustawie Rogusku, Adolfie Sonnenfeldzie, Ludomirze M. Rogowskim oraz drobne przyczynki do pracy szeregu innych naszych twórców czy też działaczy muzycznych trafiły tą drogą do moich zbiorów, dając mi wiele radości. Cieszyłem się, że wzbogacam zbiory, a przede wszystkim, że ratuję od zagłady cenne dokumenty-unikaty.

TRUĐNO doprawdy uwierzyć, iż tak ambitny naród, jakim jesteśmy, nie zatroszczył się we właściwym czasie o miejsce, gdzie by wszystkie pamiątki stanowiące dzieje naszego życia muzycznego przechowywały się wiecznie, by posłużyć za materiał dla opracowań monograficznych.

Szukając generalnego rozwiązania dla całokształtu zagadnień związanych z organizacją kultury muzycznej i w serdecznej trosce o przyszłe losy moich zbiorów obmyślałem, a już w roku 1915, czyli 45 lat temu, opublikowałem ujęty na razie graficznie schemat organizacji życia muzycznego w kraju. W syntetycznym tym planie uwzględniłem wszystko, co wchodził w zakres kultury muzycznej w dziedzinie twórczej, naukowej, zawodowo-społecznej, administracyjno-państwowej, przemysłowo-technicznej itd. Wydałem mój projekt i rozpowszechniłem w kolach działaczy społecznych, ażeby wywołać krytykę i spowodować jak najrychlejsze ewentualne ulepszenia. Jeszcze dwukrotnie powtórzyłem wykład, a od r. 1923 rozpocząłem istną kampanię w prasie i broszurach.

Realizacja mego projektu, którego postulaty leżały całkowicie w demokratycznym planie upowszechnienia kultury muzycznej w Polsce, nie znalazła niestety zrozumienia u ówczesnych czynników decydujących. Trudności, na jakie napotkałem, opisałem szczegółowo w pracy pt. „Z doli i niedoli moich zbiorów muzycznych” (1937 r.) Obszer-ny ten temat nie mieścił się w ramach niniejszego felietonu. Na zakończenie mych wspomnień o tym, jak tam było u nas z ginącymi pamiątkami, powiem, że nie mogąc odzławić strat ponoszonych przez naszą kulturę wskutek takiego stosunku do zabytków piśmienn-

Widzi mi się

List w sprawie piegzy i gęgźółki

Drogi Panie Romanie!

Pokrzyżował mi Pan plany: zamierzalem porozmawiać o książkach podręcznych lub „kryminatach”, chciałem napisać ze swojej parafii do X. Babinicza, ale tematy te mogą poczekać, nie pofruną. Gorzej jest z tą piegzą i gęgźółką. Panie Romanie! Czy Pan jest ornitologiem? Czy naprawdę martwi się Pan tak bardzo pisownią tych wyrazów? Czy używa Pan ich tak często, już nie mówię w piśmie, ale w mowie? Niech się kłopotczą przyrodnicy, którzy zresztą łatwo mogą się wymigać łaciń. Ale faktem jest — nie Pan pieruszy — że tę gęgźółkę wytacza się nieraz jako ciężką kolumbrynę na dowód rzekomej trudności naszej pisowni.

Dziś znowu odezwali się „naprawiacze” ortografii i zaczęli „gęgźółczyć”. Z „czterema literami” Brzechwy w „Przeglądzie Kulturalnym” rozprawił się już Olgierd Terlecki w „Życiu Literackim”, wykazał iluzoryczność „oszczędności” przy zastąpieniu „ch” przez „h” a „rz” „cz” i „sz” przez „r”, „c” i „s” z odwróconym daszkiem diakrytycznym nad literami, zwrócił uwagę na szkody, jakie by to przyniosło, i odesłał ten projekt do czterech liter... A Pan znowu wraca do magii liczb zamiast wystąpić z jakimś racjonalizatorskim pomysłem udoskonalonego pisma obrazkowego. To by dopiero była oszczędność!

Za mego dzieciństwa walczyły o lepsze dwie pisownie: Akademii Umiejętności i Kryńskiego. Jedni pisali: Marya, inni — Marja. Potem przyszły reformy 1918 i 1936 r. Dziś jest Maria i to się już przyjęło. Czy mamy znowu wymyślać inne kombinacje? Może wskrzesić staropolską Maryję?

Idzie Pan, Panie Romanie, dalej poza cztery litery Brzechwy, proponując reformę w pisowni nosówek, na przykład przez „rozszczepienie” „a” i „ę”. Ładnie by to wyglądało: — „wonchac”.

„wons”, „kens”. I zaczęlibyśmy tak wymawiać! Białoli Pan, że „skasowanie rz, ó, i ch w zapowiedzi „Świata Młodych” było „niestety” tylko prima-primisowym żartem. Przytacza Pan żartobliwy wierszyk Chotomskiej (kto to?), w którym figurują „krufki” i „makufki” i wyraża tautologiczne życzenie, aby fraszka ta stała się (choć część) odzwierciedleniem „realnej rzeczywistości”. To mi ułatwienie! Zdrobniała „krufka”, a więc duża „krufa”, male „makufki”, więc duże „makufy”. Pragnie Pan reformą ucieść „miliony ludzi” (eje!) wobec „przeróżających trudności, jakich natręca ortografia wczorajszym alfabetom”, których „nauczylismy” trzymać pióro”. Ratując przed rzekomymi trudnościami alfabetów, chce Pan nas wszystkich uczynić półalfabetami. Nie tędy droga: równać należy w górę, nigdy w dół! A trudności? Czy naprawdę miał je Pan chodząc w krótkich majteczkach i ucząc się pisowni? Pamiętam, jaką przyjemność sprawiało mi, dziecku, zestawianie wyrazów: dróżka, bo droga, kurze, bo kura. A Pan chce wszystko ułatwić. Trzeba nieco gimnastyki umysłowej: niech „glufka” trochę popracuje, wtedy wyrośnie z niej „mondra glufa”.

Z jednym się zgadzam: pisownia nazwisk obcych. Owszem, niech będzie fonetyczna, ale pod warunkiem, że przy „Uajldzie” czy przy „Uelsie” napiszemy w nawiasie Wilde i Wells, a przy „Czestertonie” — Chesterton.

Sprawa oboczności: pisarzy — pisarzy czy bohaterzy — bohaterowie nie należy wcale do ortografii. Lapsusy calami. Z ferworu.

Resumuję (broń Boże, nie: reasumuję): dzisiejsza nasza pisownia nie jest idealna, ma pewne braki i niekonsekwencje, ale już się ustabilizowała. Wprowadzenie nowej, a zwłaszcza fonetycznej, wywołałoby straszliwe zamieszanie. Z ortografii rosyjskiej usunięto „jat”, obcięto „krótkie” znaki na końcu wyrazów, ale przecież nie wolno napisać „dobrawo”, jak się wymawia, tylko „dobrogo”.

A do słownika ortograficznego od czasu do czasu powinniśmy wszyscy zaglądać. Nie ma się czego wstydzić.

Zechce Pan przyjąć wyrazy mojej szczerzej sympatii.

X. Rovay

BALLADA O ŚNIE

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI



JERZY WOLKER

W brudnym raniku na przedmieściu
mieszkał młodzieniec, zwał się Jan.
Miał dobre oczy, słabe pięści
i siny fartuch robotniczy.
Wieczorem chodził po stolicy
i w światel barwnym kotowrocie
boleśnie rosły jego oczy,
co dobrze świat widziały cały
i ostro w serca głąb krzyżały:

Tu są pałace, tam poddasza,
tu — syte brzuchy, tam — głód straszny,
tu — niewolnicy, a tam — dyktatorzy,
a wszyscy chorzy.
Świat kształtem serce przypomina,
a gdy przez pół się je przecina,
umierać musi.

Po mieście chodził smutny Jan,
zawszad oczami szedł ścigany,
cierpiał, a życiu chciał być rad,
na sprawiedliwych szalach pragnął zważyć świat,
bo człowiek się na ziemi przecież po to rodzi,
aby się stawał tym, co jej dogodzi.
Niech będzie jej pokarmem, kiedy głód ją chwyta,
i głodem jej niech będzie, jeśli jest zbyt syta.

Po mieście błądził,
po ulicach chodził,
głwaźdy mu nie nie pomagały.
Wrócił do domu, w izbie niskiej
trzej towarzysze jego spali.
Na kocu się położył Jan,
a oczy jego jak otwory ran
cicho się zamykały,
cicho się zabliznały.

Ledwo zamknęły się powieki
nad oczu tych ranami,
serce jak ziarno złane łzami
zaczęło się rozrastać w cieple
w krańcy szczęścia i wesela.
Nie widział już pałaców, nie widział poddaszy,
zniknęli gdzieś żebracy, których głód wciąż straszny
i po świecie, gdzie nędza nigdzie już nie gości,
chodzili ludzie tak jak dzieci prosić,
mądrzy jak inżynierzy, dzielni jak monterzy,
co mosty z wierszy budują i tonów,
a głównie z żelbetonu,
z żeby złączyć ziemią z ziemią
i serce z sercem w jedno.

Jan rozkrzyżował ręce
miłością wielką płonąć,
chciał wszystko to jak miłą swoją wziąć w ramiona,
lecz biada, biada!
Oczy — dwie niezgojone rany — otworzy się nagle,
zobaczył izbę od poranku biada
i dachy domów nagie,
rzeczywistość mu serce dwoma przebiła gwoździemi
i zrozumiał, że z nędzy, słabości i głodu
sen go jedynie omamił.

Przy tej samej ulicy
mieszkała biedna dziawczynna.
Dziesięć koszul codziennie
umiała uszyć na maszynie.
Raz się z Janem spotkała,
gdy w mieście się ściemniło,
Jan przyłgął do jej ciała
i wyznał jej swą miłość.
Potem się często spotykali
i o miłości rozmawiali.

Tego wieczora spotkali się znów,
Jan głowę miał zwieszoną
i mówił z drżeniem ust:

„Dziś w nocy, Mario, mi się zdało,
że życie łatwiejsze się stało,
lecz rano zrozumiałem, że to sen jedynie
i mara ta mnie męczyć będzie, dopóki nie zginie,
bo jak łube widziadło w dzień idzie przede mna
żelaznymi mostami, ulicą kamienna,
a kiedy się zatrzyma, staje się przejrzysta
i przez nią tysiąc zbrodni widzą oczy czyste,
występków, których widok nęka tym straszliwiej,
że poznałem krańcy, gdzie żyją szczęśliwi.
Ludzie, dla których zgasło słońce,
ze snem słonecznym muszą skończyć,
Inaczej sami zginą.
Powiedz mi, moja miła,
jak byś ten sen zabiła?”

„Póki cię, Janie, nie poznałam,
też straszne sny miewalam.
Snił mi się wciąż
kochanek albo mąż.
Ze cały dzień samotnie żyłam,
co noc w objęciach jego byłam.
W nagrodę? Nie, za karę raczej.
Chcesz żyć, a w życiu jest inaczej.
I jam się tak budziła
do czterech ścian, do mego trudu
i eszukaną wciąż mówiłam:
to nie był mąż, lecz sen-uluda.
Lecz edkąd myśmy się poznali,
ten sen ode mnie się oddalił.
Przez to, żeś rzekł mi: moja miła! —
sny te na zawsze już zabiłam”.

Wysłuchał słów tych młodzieniec Jan,
zrozumiał sens ich męczyzna Jan,
zaciśnął ręce i rzekł: „Wiem,
zabiję sen”.

Z fabryk, z poddaszy idą robotnicy,
twardość życia trzymają w ściśniętej prawicy,
sny piękne wszystkie mieli, poznali ich brzemię,
dźiś żurawiem je dźwigną, w kształt wcielią na ziemi,
to ludzie są z mięsa i kości, światła dziedzice wieczni,
co piękne sny swe zabijają tym, że je uskutecznią,
nie tylko dobre serce, mocne też mają pięści,
dłatego przez światła idą, by zdobyć swoje szczęście.
Z fabryk, z poddaszy idą robotnicy,
a razem z nimi Maria i Jan,
święci trzymają z lilij wian,
mężowie — młoty i młotce,
kiedy się wielkie sny zabija,
kwi wiele ciecze.

Trzeba zabijać,
życie wywalczyć,
ręce są bronią,
a serce — tarczą.

1921

(„Cieźka godzina”)

Używany cień Izydora

JAN STANISŁAW STEFANIAK

...cień św. Ewarysta — 136 zł
cień św. Wincentego — 170 zł
cień św. Jana Kapistrana — 225 zł
cień św. Izydora — 87 zł 93 gr
cień św. —

— Zdecydowałem się na cień św. Izydora.

— Zapakować?

— Nie. Mam ze sobą latarkę.

Od dzisiaj będę miał własny. Inni mają po trzy, a co bogatsi to i po dziesięć. Wprawdzie mój nie jest dostatecznie czarny, ale pasuje do mnie jak ulał — myślał Izydor. Na ulicy Bajecznych Przystanków obejrzał się. Nie było wątpliwości: Jego cień szedł za nim krok w krok jak posłuszny przyjaciel. Przeniósł latarkę do tyłu, ażeby go mieć przed sobą. Przyjrzał

wózek. Pozostało jedynie wspomnienie o nich, miłe i smutne zarazem.

Bezpośrednio po wojnie książki leżały rozłożone szeregami na okaleczonych chodnikach ulic nieszczęsnej stolicy, we wnękach spalonych domów, na wyszczerbionych gzymsach, leżały mocno zakurzone i zawstydzone, że do czystych rąk spragnionych wiedzy człowieka dochodzą przez ręce szabrowników, złodziei, paserów i spekulantów. Aż przyszedł wreszcie czas, kiedy stały się pokarmem i radością milionów obywateli odrodzonego kraju.

Edward Wrocki

mu się z zainteresowaniem. Zauważył, że cień obserwuje go także. „Przyzwyczaj się do mnie” — rzekł głośno Izydor — „najtrudniej z początku. I wybac, stary” — mówił dalej — „ty jesteś dopiero moim pierwszym cieniem, więc nie gniewaj się, jeżeli kiedyś zrobię ci mimowolną przykrość”.

Dawnoży zmęczone tramwaje przelatując dnem ulicznych wawozów. Za nimi, po szynach przesuwały się lśniące odbicia światła. Wszystkie domy stały nieruchomo. Ozdobione neonami reklam, posiadające bezkształtne cienie bram. Wychodzili z nich ludzie. Nie sami. A wracali często samotnie. W tym ruchu przesuujących się maszyn i tłumów Izydor musiał dobrze uważać, aby nie nastąpić na czyjś cień lub, co gorsza, nie pozwolić podeptać swego. Miasto huczało własnym życiem, sobie tylko wiadomym biciem serca i sobie tylko znanymi dźwiękami. Było to bowiem bogate Miasto. Miasto najliczniejszych cieni. Żywych i martwych. Różnych odmian i gatunków.

Podczas tego spaceru Izydor zauważył, że znajomi zaczęli mu się kłaniać. Odklaniał im się, ale bez przesady. Na dwa centymetry podnosząc nad głowę kapelusz. „Może posiadanie cienia wywołało we mnie pychę i zarozumiałość” — myślał patrząc na swojego satelitę. Ten także przyklonił z lekka uchylał aureoli „Słusznie” — myślał dalej z aplauzem — „jako

cień św. Izydora nie powinien być zbyt pokorny”.

Minęli „Wieżę ciśnien”. Izydor przypomniał sobie, że przed północą na spoczynek dobrze było napić się wódki. Zawrócił przeto na róg Główną.

W drzwiach stał Barczysty i jego trzy cienie.

— Są wolne miejsca? — spytał Izydor.

— I są. I nie ma. Pan tylko z jednym cieniem, jak widzę...

— Tak.

— To nic z tego. Lokal jest pierwszej kategorii. Pan rozumie. Radzę udać się do tej obrydlivej spelunki Dobrego Pana. Na Przedmieściu. Tam przychodzą tacy goście jak pan. Z cieniem i bez cienia.

Izydor dał Barczystemu banknot. Cienie rozstąpiły się w głębokich ukłonach. Uniosła się ciętka kotara. Wszedł.

Niewiele osób. Za to dużo cieni. Siedzieli na miękkich fotelach, na wysokich barowych stołkach. Chybały się na ścianach i kasetonowym suficie.

Podniósł kieliszek. Jego cień zrobił to samo. Wypili jeszcze po jednym. Z boku dobiegła melodia kankana. I tańczyły nagie cienie tancerek. Popatrzył na nie poządlawie i pomyślał, że czas najwyższy się oświecić. Oczywiście z taką, która ma w posagu chociaż ze trzy cienie.

Przy sąsiednim stołku. Ktoś opowiadał. Zwróciło to uwagę Izydora. Ktoś miał, jak on, jednego tylko cienia siedzącego obok na krzeselku.

Ktoś mówił:

— „szkoda, że nasze cienie nie stają się nigdy pomnikami. Gdyby były z kamienia albo z brązu... Trudno

(Dokończenie na str. 7)

W STRONĘ MŁODYCH

kolumna autonomiczna

JERZY KSIĘSKI

Ziemia — taka mała planeta

Rozpalono z wysiłkiem ognisko —
Mały ogień z ziemi ogromnej;
Tak mówiono: — Gdy wiatry podsycą
To wybuchną płomieniem pochodnie.

Był miłością ten ogień i mocą,
Na kolanach składano mu hołdy.
Rozzuchwalał go suchy srocco,
Hartowało tornado i sztormy.

Dookoła zmieniało się wszystko,
Nikt w pół drogi już nie mógł
przystanąć.
Tylko ciągle płonęło ognisko
Przez wciąż nowych sycone kapłanów.

Duży ogień buszował po ziemi,
Grzał się przy nim mądry cień
człowieka,
Puste dłonie zacierał bez przerwy...
Duży ogień — mała planeta.

ELŻBIETA OLSZEWSKA

Przyszłość

Czas wleczę się
niedzielną nudą
jakby zapomniał, że ma stać,
czekaniem wezwać
nowe dni poematu
znad wielkiej, wielkiej wody
na trąbce baszty
wygrać.

Wina

Milczę, gdy wilgotną masz twarz
przeze mnie.
Ciężar ołowiu oceniam wiele razy
głucho
uderza myśl spóźnioną refleksją
fioletu
uczynkiem latam całość
Twej miłości.



ELŻBIETA
CICHLA - SZANIAWSKA

Dzieci

Odchodzimy
od treści naszych dni
dławiąc się pustką słów,
zbytkiem
gestów napuszonych.

Obracamy w rękach
zmały świat
i zdziwieni
patrzmy bez tehu
jak upuszczony
toczy się, spada, pęka.

Kupujemy
świecidelka szklane
po bardzo niskiej cenie,
ludząc się,
że w ich blasku
znajdziemy nasycenie.

Rzeczywistość
jak kamień
wystający po drodze
wabi nas,
nęci.
Przewracamy się o nią,
drżymy wzywając pomocy
zatrwożone
niesforne dzieci.

ZBIGNIEW ZABORSKI

W a l k a

Przyleciały
wasze słowa
rozbijać próżnię

przyleciały
wasze słowa
rzucić przekleństwa

przymknięto
usta mojej mowy
odcięto
palec moich rąk

zostały tylko
spragnione oczy
rozproszonego spojrzenia

W a w ó z

plakał rzewnymi poziomkami
zielony gościniec
szedłem i zachwyty
mnie dziwny ogarniał
myślałem
że to ty śpiewasz
a to przekwitła
dojrzałość lata
i śpiew chwycił mnie
za oczy

TADEUSZ
GRZEGORZEWSKI

Bezsenność

ukrzyżowany na krzyżu ramy okiennej
gonię resztkami nadziei
przede mną defilują godziny
— błagam je, aby na poparzone życiem
usta

rozlały kilka kropli zapomnienia
ale one nie dają się ubłagać

podają mi myśli
nasiąknięte goryczą

KRZYSZTOF MARIA
DMITRUK

La Madonna del Buon Camino

Stoi o twarzy dziecka
co stukło glinianego ptaka
zdziwiona
że i do pustych dłoni
przypelza ślwy łeb księżycy
anioł z dzwonkiem u szyi
srebrnym kopytkiem drąży ciszę
ave
ave maria.

ARTUR ZBIGNIEW
METERA

Akwarele

W XX wieku
to my —
cybernetyka i atom.
W XX wieku

dym krematoriów
gnil latem.

Zasłuchani w krople
ciemnej palety

Ezy, błękit pruski
gdy akwarele —

rozmażane ręką
zamyślnego dziecka

zgubiły czerwienią
zachodu słońca

zieleń rozmarzeń.

Zostały
różnokształtne figury

chwil i wydarzeń,
które dojrzeją

farbami myśli.

JAN PIENKOWSKI

Twierdza grajdołek

Na tle zbuntowanej urody —
czarny
małeńki pieprzyk.

To miasto
ciągle bombardują.
Ale pociski wspomnień
wracają do mnie jak bumerang —
wezoraj,
dziś.

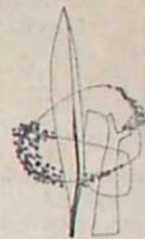
To miasto,
które dawno miało zniknąć
z mapy mej pamięci
stoi do dziś
jak ewakuowana stolica.

Nieudana
blokado
własnych
dróg.

EWA DACZKO

Drzewa

Zimna noc
Spływa
Po nagłej ziemi
Drzewa
Wyciągają mokre ręce
Po muzykę
Twoich słów
Modlitwą dnia
Dają radość
Nowonarodzonym liściom
Zebrząc
O niedokończonych słowach
Moich wyznań.



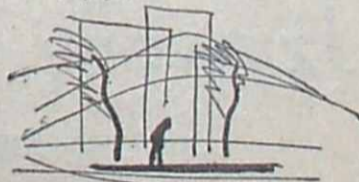
HENRYK PAJĄK

Gondolier

zachodzi śpiew
cichnie nagość
hołuję cię
bezwładna biała barko

oto sen
brzeg nocy
czarny epizod

morze i plaża
to kochankowie cisi
plusk dwójga ciał
przypliw
i odpływ
przypliw
i odpływ



ROBERT ROGOWSKI

Gdzieś przy Placu Dłużników

(fragment)

Ta staruszka jest dobrze mi znana
(nikt nie powie, że się chwale).
Po ulicy idzie, lat koronkowych się wstydzi.
Jeżeli już patrzysz to usta masz otwarte.
Tak też się zaczyna.
Staroświecka parasolka i staruszka tancerka na linie.
Nawet nie wiesz, jak może się na niej utrzymać.
Mówi, że dawniej ulice bardziej były wygodne.
Nie macie pojęcia, jakle były wygodne.
Ulica rozhuśtana i zgubione różańce razem powiązane.

Jak powoli ta dorożka jedzie.
Dorożkarz deszczem pachnie i śledziem.
W dorożce pod parasolką dziewczyna.
Tak białą jak wszystkich dzieci pierwsze są zimy.

Staruszka zatrzymała się. To musiało trwać długo.
Posłuchaj co powiedziały jej oczy i zmarszczki, które
uśmiechnęła tak niewidocznie.
niewidocznie jak tylko możesz sobie wyobrazić.
To takie będzie proste, kiedy tylko urosną.

Nie jest rzeczą łatwą patrzeć na lzy, które nie spadną.
Jeżeli w to nie wierzysz, przyjdź na moją ulicę gdzieś przy
Placu Dłużników.
Wio! popędził dorożkarz i nie pytany o nie nad koniem
zasnął zmęczonym.

MAREK SŁAWOMIR
KOTLIŃSKI

Wodopój

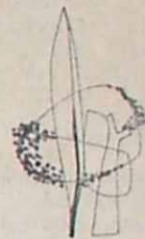
Ty
mieszkaś w słonecznej
Senegambii
i leżysz cienie
dobrych palm
kwitnących morzem
Gdy dzień staje
zapomnieniem mroku
Wchodzisz w piasek
odwiecznych karawan
i wodopojem

dzielsz sprawiedliwie
Gdy wyschnie ostatnia
z kropel uśmiechu
Podnosisz głowę
i nabrzmiąłą wargę
przecinasz

by
nakarmić szare wielbłądy
one kiwają
pochyłymi łbami
i liżą krople
wrzeszczące w piachu

Potem
odchodzą
W przymacie oazy
widać

ich
nierozumne cienie
i bengalskim ogniem krzyczy
Twoja rozcięta warga
Oddana bajce



Używany cień Izydora

(Dokończenie ze str. 5)

spamiętać wszystkie miejsca, po których się przesuwały lub gdzie się utrwały na chwilę. A zresztą... — urwał i zabębnił palcami po blacie stolika.

— Cień, to cień. Wystarczy słońce, nawet świeczka... — zauważył Inny.

— Kiedyś — mówił dalej Ktoś — przeżywałem coś nieprzyjemnego. Tego nie umiem określić. Jakaś chandra. To przychodzi nagle. Wtedy wszystko traci swoją wartość. Jesteś tylko nosa. Taka wysublimowana samotność... I wtedy znikł mój cień.

To jakoś głupio, gdy nie ma się cienia, no nie? A był zawsze ze mną. Młeczający i czarny. Jakby zadumany.

Jeden. Taka wysublimowana samotność... I wtedy znikł mój cień. To jakoś głupio, gdy nie ma się cienia, no nie? A był zawsze ze mną.

Młeczający i czarny. Jakby zadumany. Nie miał oczu, a szedł za mną wszędzie. Wydłużał się i rósł, kiedy wszędzie. Wydłużał się i rósł, kiedy kupowałem radość u brodatego Chronosa. Kurczył się, gdy zgarbiony niosłem na plecach znalezione pod płótnem, nikomu niepotrzebną troskę.

tem, nikomu niepotrzebną troskę. I właśnie w poniedziałek stwierdziłem, że mego cienia nie ma. Niebo było tak nisko. Aby przejść, musiałem je podpierać papierowymi stemplami. W domu spojrzałem w lustro. Było białosrebrzyste i puste. Nie wiem dlaczego wybiegłem na próg wołając siebie po imieniu. On był wtedy moją brakującą twarzą.

— Teraz mówię Inny: — „mój znajomy, który jest Szyszka, powiedział mi w sekrecie, że... Niech pan tylko tego nikomu nie powtarza... że przewiduje się projekt uchwały o... tzw. wspólnocie cieni. Wszystkie podobno mają być traktowane jednakowo. Nie będzie żadnych wydłużeń ani kurczeń. Zrobią specjalne dla nich miejsce, ghetto. Zmusi się je do pracy. Prywatnie wolno mieć będzie tylko po jednym cieniu. I wszystkie będą równe — unormuje się siłę światła.

— To ciekawe — pomyślał Izidor.

— To straszne — ciągnął Inny. Wie pan — tu Inny nacylił się do ucha swego rozmówcy — wie pan, najlepiej opylić część cieni zaraz. Nim się o tym dowie gielda. Proponowałbym panu spółkę. Będziemy skupowali cienie... nieoficjalnie ceny są jeszcze dość wysokie...

Izidor zamyślił się. Gwar rozmów był gdzieś daleko poza nim. Po co właściwie tu przyszedł? Dla nastrojonego picia wódki? Dla ładnych nóg tancerki? Jego miejsce powinno być gdzie indziej. Ale gdzie? Podniósł się z krzesła i opadł na nie z powrotem. Bo lokal był taki jak ze słyszanej bajki.

Było późno. Zapachniało rozgrzanym ciałem kobiety. „To tancerki” — myślał — „dają chętniej d... niż serca”. Wyrzwał za kotarę gabinetu. Przyćmione oświetlenie. Połamane, pijane cienie oparte na stolikach, leżące na podłodze. Wrócił i po omacku zaczął szukać swego. Zapaliwszy zapalniczkę, znalazł go na moment. Był. Bardziej błady i przezroczyście niż zwykle. Izidor zaniepokoił się. Objaśnił światło latarki i skierował się ku wyjściu. „W porządku” — rzekł zauważwszy, że wstał i ruszył za nim.

Światło. Tego dnia Izidor jeszcze nie oglądał Miasta. Zdumiał się, że może być takie rumiane w smugach wschodzącego słońca. Tym, co znajdowało się poza Miastem, Izidor nie interesował się. W Mieście miał własne kwadratowe podwórko ze śmietnikiem w środku. Kwadratowe niebo nad podwórkiem. Też często zaśmiecone jakąś chmurą. Ale odkąd Izidor stał się właścicielem cienia, używanego wprawdzie, ale wiernego — przestał interesować się w oknie swojej sutereny. On — Izidor, który ma cień św. Izydora i spał z najpiękniejszą tancerką.

Za rogiem Domu Proroków ukazał się Plac Rezydenta. Stał na nim pomnik z lapis-lazuli. Społeczeństwo Miasta zwało go Pomnikiem Ze Wzniesioną Ręką. Pod pomnikiem odbywały się licytacje i wyprzedaż cieni. Izidor zastanowił się. Niespodziewanie dla samego siebie popatrzył na swego towarzysza z widoczną pogardą. Jego cień był już nieledwie cieniem cienia. Dobiwszy targu, nabył go wkrótce jakiś człowiek z dużą dziurą na łokciu marynarki.

Pieniądzy wystarczyło akurat na kupno dużego rewolweru. Izidor wiedział co należy robić. Przyczał się w bramie Bogatego Domu. Za godzinę z luksusowej taksówki wysiadł Inny i jego dwanaście cieni. Weszli w bramę. I nawet Opatrzność spóźniła się z ratunkiem. Aż dziw, że to nie było takie trudne. Inny upadł bełkocząc niewyraźne słowa. Izidor wyprysnął z bramy i obejrzał się. Dwanaście

cieni Innego pozostało w bramie. Wbiegł z powrotem i starannie przetrząsnął każdy zakamarek. Na próżno. Na ulicy też nie stało się nic nadzwyczajnego. Kiedy Izidor strzelił trzy razy w brzuch kobiety (miała tylko cztery cienie), zauważył, że te cienie znikły także. Tylko na jezdni ukossom do rynsztoka leżała śmiesznie sflaczała postać kobiety.

Puścił się środkiem jezdni, strzelając od czasu do czasu w stronę mijających go osób. Wszyscy, wrzeszcząc, w popłochu uciekali z drogi. Gdzieś od Placu zawyły syreny pancernych samochodów policji.

Izidor śpieszył się. Jeżeli dotrze w porę do Centrali Światła, będzie uratowany. Wystarczy rozbić rozdzielnicę lub przeciąć kabel połączony ze słońcem. „Jestem zmęczony” — zatroszczył się. Prawie w biegu oddał moc. „Co to jest wartość?” — myślał dopinając rozpiórek — „sami ją stwarzamy. Zawsze można daną rzecz zdewaluować. A w tej chwili ja jestem najważniejszy”.

Zgubiony w labiryncie pomieszczeń i mechanizmów, odnalazł tablicę rozdzielczą, pełną skomplikowanych urządzeń, przycisków i dźwigni. Z bliska strzelił do niej kilkakrotnie. Zabił ją osłepiającym, fioletowym światłem porwanych przewodów. A potem nagle: Ciemność.

Doczołgał się do wyjścia. Ulice szczelnie wypełniały ciemności. Kłapięca, przedziewająca się ponad dachy czarna. Wtem spostrzegł, że nie jest sam, czuł, że są. Otaczają go ze wszystkich stron. Cienie. Całe morze cieni. Na oślep rzucił się do ucieczki. Biegł w kierunku — poza Miasto. „Czy cienie mają twarze” — zastanawiał się gorączkowo — „czy tylko zarysy, kontury?...” Wiedział, że one biegają za

nim. Słyszał prawie ich milczący oddech. Gdzieś w dole zaważył polsk wody. Most błękitny. — „Za mostem kończy się Miasto” — myślał.

Naraz zrobiło się zupełnie jasno. Żółte, okrągłe słońce wyskoczyło zza horyzontu i zawisło w zenicie. Wtedy Izidor zobaczył: były niepokojąco blisko. Na czole błękitnych rozpoznął cień św. Izydora, ale już bez aureoli. Izidor przystanął odwrócony, ku nim.

— No?! — warknął, wymierzywszy z pistoletu.

Błękitne cienie zatrzymały się, zawahały. Potem powoli ruszyły naprzód.

Trzymając rewolwer, cofał się tyłem, aż oparł się plecami o poręcz mostu. Cień św. Izydora przybliżył się z rozstawionymi ramionami. Izidor naciśnął spust. Matowo szczyknęła iglica. Rzucił bezużyteczną broń. „Takie jest to słońce i takie cienie” — pomyślał, bezwiednie zdejmując marynarkę. Zachichotał, gdy cienie znajdowały się na odległość dłoni. Szybkim ruchem przechylił się przez balustradę mostu.

A one, zgrupowane na moście, patrzyły w dół, w migoczące koła wody, które mały coraz bardziej, aż nurt wygładził się i wyspokojniał.

Nazajutrz „Gazeta Poranna” zamieściła notatkę:

„Wczoraj wyłowiono z Rzeki zwłoki topielca. Przepuszczalnie samobójstwo na tle rozstroju nerwowego. Nazwisko nieznane. Sądząc po ubiorze denata, prawdopodobnie był to człowiek z Przedmieścia”.

Jan Stanisław Stefaniak

PIERWSZE miesiące wiosenne kochają się na Lubelszczyźnie, jak w całym kraju, z eliminacjami poprzedzającymi zazwyczaj konkursy ogólnopolskie, które mają na celu doprowadzenie sztuki literackiej, muzycznej, plastycznej — do najgłębszych i najszerzych warstw społeczeństwa. Piękna, nobliwa akcja, z racji swej kolosalnej wagi nie pozwalająca na żadne brakróbstwo. Ale nie o tym chcę mówić — pewne usterki jednego z konkursów ukazała w swym artykule A. Tatarkiewicz, ja zaś tylko powiem nawiasem, że nie lubię terminu „eliminacje”, bo znaczy po polsku tyle, co usunięcie. Wprawdzie zadanie jury polega istotnie na usuwaniu przed wyższym szczeblem mniej sprawnych zawodników, jednakże chodzi tu raczej o pozytywny moment wyboru najlepszych. Czy w takim razie nie byłby bardziej odpowiedni wyraz „emulacje”, jeśli już musi koniecznie być wyraz obcy. Albo „konkurencje”, jak w sporcie, czy szczeropolskie „zawody”? Naprawdę to urodziwe fonetycznie słowo „eliminacja” jest brzydki w swej treści. I najzupełniej nieodpowiednie, skoro nikt nie „usuwa” — nikogo nie odsuwa od sztuki każąc niewyróżnionemu uzbudzić się w wytrwałość niezbędną dla osiągnięcia artystycznych.

Zamykam nawias i pragnę teraz podzielić się kilku uwagami, jakie mi nasunął koncert galowy zorganizowany w kwietniu przez Radę Okręgową Zrzeszenia Studentów Polskich w Lublinie. Jest coś bardzo krzepiącego w wynikach selekcji, pokazanych w programie tego koncertu. Niech no kto dzisiaj spróbuje powiedzieć mi coś złego o naszej młodzieży! Te zmiany na lepsze, o których się obecnie często czyta, poznaję już od jakiegoś czasu z narzucających się spostrzeżeń osobistych. Wystarczy posiedzieć godzinę — drugą w klubie „Nora”, mającym swoich stałych bywalców spośród młodzieży o większych aspiracjach intelektualnych. Znajac ich wszystkich z nazwiska i twarzy, nie bez przyjemności dostrzegamy, jak owa twarz z trąca po trochu grymas „Welterschmerz”, złośliwości i ostentacyjnego znużenia. Proszę też zajrzeć na chwilę do Empiku: pełno tam zawsze młodzieńców, zatopionych w lekturze czasopism. Już nie mówię o Lubelskim Domu Kultury na Zamku, gdzie chętna młodzież systematycznie poznaje arkana wszystkich gałęzi sztuki, — ale te niemal spontanicznie powstające kabarety studenckie, te „Czarty”, te „Dreń”! Albo grupa młodych artystów lubelskich, wysyłająca swe dzieła aż na wystawy zagraniczne... A młoda załoga działu literackiego Rozgłośni Polskiego Radia w Lublinie, realizująca słuchowiska własne, nie gorsze od niejednego warszawskiego... A czupurny beniaminek poetycki „Prom”, który, jak wszyscy miłusińscy, lubi hałasować, ale z tego wyrośnie, tym

ROZMYŚLANIA PO GALOWYM KONCERCIE

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

czasem zaś ma już w swym gronie laureatkę, piętnastoletnią Violetę Szorc (III nagroda na konkursie poetyckim PAX-u). Tyle tego, o czym się słyszy i co się widzi. Teraz pomyślcie, ile osiąga się jeszcze na uczelniach, w szkołach średnich, szkołach podstawowych — bez specjalnej zapowiedzi i anonsu...

No i ten koncert galowy, o którym chciałam mówić.

Wprawdzie warunki były sprzyjające sukcesom, pokaz odbył się na scenie Państwowego Teatru im. J. Osterwy. A więc: dostateczny metraż tzw. „desek scenicznych”, zawodowo filtrowane światło, rekwiizyty na miejscu, kurtyna, która ci nie zapadnie przed nosem w kulminacyjnym punkcie owacji. Proszę mi wierzyć, że to ma swoje znaczenie. Lecz na nic by się zdało, gdyby na tej „porcelanie” podano — wybaczcie metaforę kulinarzną — nieodgotowane kartofle, zamiast wcale smakowitej potrawy artystycznej.

Niestety nie zdążyłam na początek koncertu, kiedy występowały chóry: Wyższej Szkoły Rolniczej (mieszany, pod dyrekcją B. Szota i J. Danilly) oraz UMCS — „Arion” (mieszany, pod dyrekcją Tadeusza Chyły). Wiem tylko z relacji, że wykonanie było dobre, o czym nie wątpię, znając chociażby zapal artystyczny prof. T. Chyły, jednego z najbardziej energicznych organizatorów lubelskiego życia muzycznego po wywołaniu. Ale specjalną satysfakcję sprawił mi repertuar „Arionu”. Po zaledwie półrocznej pracy takie pozycje, jak Finał „Fletu zaczarowanego”, czy też z „Borysa Godunowa”, czy fragment a capella z baletu „Harnasie” — pogratulować!

Muzykę instrumentalną reprezentowała Witolda Miszczyka Jazz Group z UMCS. Wykazała się przednią sprawnością, umiarem w połączeniu ze znakomitą wycuciem rytmu.

Gorzej wypadła pozycja teatralna — „Nozna rozmowa z człowiekiem, którym się gardzi” Dürrenmatta. Rzeczy przeznaczone na słuchowiska radiowe, dialogi o napięciu wybitnie intelektualnym, jeżeli są wprowadzane na scenę, wymagają doświadczonego aktora, aby nie stały się suche i nużące. Taka już jest podstępna sztuka sceniczna: „świeżość” świeżością, a cokolwiek by mówił Jan Kott, bez zawodowych aktorów nie ma prawdziwego teatru.

Teatrzyk, owszem, być może. Na przykład „Dren - 59”, który pracuje pod kierunkiem artysty Teatru im. J. Osterwy, Jerzego Skolimowskiego i w swoim programie, ułożonym według konwencji nowoczesnej, poczynił od czasu pierwszego pokazu znaczne postępy, wyzbywając się stylizowanego udziwniania.

Na szczególną zaś uwagę zasługuje, moim zdaniem, z różnych względów, zespół taneczny UMCS, wykonujący „Chodzonego” i „Albo to my jacy tacy” w opracowaniu choreograficznej Jadwigi Wirskiej. Sam układ tańców jest niezwykle atrakcyjny. Zrobić ze statecznego „Chodzonego” kompozycję całkowicie pochłaniającą uwagę widowni — to sztuka nie lada. Lecz tego można było się spodziewać po p. Wirskiej, choreografie utalentowanym, z dużą inwencją. Największą natomiast sztuką było uzyskanie takiej precyzji w realizacji kunsztownego tańca, jaką może się poszczycić jej zespół, stworzony dopiero w grudniu ub. r., podobno przed samymi feriami zimowymi.

Romantyzm wykonania tych tradycyjnych tańców narodowych, widome znaki oparcia kompozycji na solidnym przestudiowaniu Kolberga — skłoniły mnie do bliższego poznania metod warsztatowych, według których pracuje zespół taneczny UMCS. Dwie godziny próby wcale mi się nie dłużyły. Ćwiczenia są ciekawe i dla przygodnego świadka, i dla młodych uczestników. Metoda — znakomita... Ale warunki pracy pozostawiają coś niecoś do życzenia. Wprawdzie Szkoła podstawowa Nr 24 udostępniła zespołowi swoją ładną świetlicę, jednak przydałyby się tu odpowiednie drążki, żeby młodzi entuzjści Terpsychory nie musieli chwycić się oparcia krzesel. Potrzebne też są stroje ćwiczebne i różne inne rzeczy, o które p. Wirska może nie dość energicznie się upomina, bo daje sobie radę we wszelkich warunkach. Tak czy owak, rezultaty trzymiesięcznej pracy są zdumiewające i warto pomyśleć o tym, żeby związać Jadwigę Wirską ściślej z Lublinem. Mamy tu stanowczo za mało doświadczonych choreografów. Kanirowa zajmuje się swoim zespołem, a Maria Grodzka, specz zarówno od tańca klasycznego, jak i charakterystycznego, jest tak dalece obciążona pracą, że nie mogła znaleźć paru godzin dla naszych aktorów na ćwiczenia z plastyki ruchu scenicznego. Przed kilkunastu laty popełniono duży błąd wypuszczając J. Wirską z Lublina. Wyjechała do Warszawy, gdzie oparła się o Centralny Dom Twórczości Ludowej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Należy teraz odzyskać ją na stałe.

Skoro mamy już dzisiaj tyle młodzieży garnącej się do pracy artystycznej, dajmy jej fachowych kierowników we wszystkich dziedzinach sztuki, słowem, precz z niekompetencją!

KSIĄŻKI NADESLANE

- Ferenc Mora: Wierzę w człowieka, przeł. Ella Maria Sperlingowa, Pax 1959.
- Gertrud von le Fort: Chusta Weroniki, przeł. Maria Kłos-Gwizdzalska, Pax 1959.
- Clive Staples Lewis: O wierze i moralności chrześcijańskiej, Pax 1959.
- Zdzisław Umiński: Sprawozdanie konfidenta, Pax 1959.
- Marek Antoni Wasilewski: Wojna w Hondurasie, Pax 1959.
- Zbigniew Dolecki: Morze zatapia sny, Pax 1959.
- Andrzej Piotrowski: Przerazenia, Pax 1959.
- Emil Zola: Dzieło, przeł. Hanna Szumańska-Grossowa, PIW 1960.
- Jan Chryzostom Pasek: Pamiętnik, PIW 1960.
- Dramaty staropolskie. Antologia, oprac. Julian Lewański, PIW 1960, t. I, II.
- Adam Celiński: Wiersze, hymny, listy, Pax 1959.
- Tedor Parnicki: Słowo i ciało, Pax 1959.
- Adolf Rudnicki: Krowa, PIW 1960.
- Stanisław Grochowiak: Rozbieranie do snu, PIW 1959.
- Stanisław Dygda: Jezioro Bodeńskie, PIW 1959.
- Józef Roth: Hotel Savoy, przeł. dr S. Bernan, PIW 1959.
- Stanisław Wygodzki: O świecie, PIW 1959.
- Janusz Krasiński: Haracz szarego dnia, PIW 1959.
- François Mauriac: Życie Racine'a, przeł. Maria Wierzbicka, Pax 1959.
- Jan Huszcza: W kwilaniu czarnek, PIW 1959.
- Mieczysława Buczkówna: Dalekie podróże, PIW 1959.
- Wiesław Rustecki: Podróż ciszą, PIW 1959.
- Jerzy Wilmański: Poemat niedoskonały, Wyd. Łódzkie 1959.

LUBARTÓW leży koło Lublina

(Dokończenie ze str. 2)

ziom życia kulturalnego wsi i małych miasteczek, najbardziej pod tym względem pokrzywdzonych, regionalizm może również w dużym stopniu wpłynąć na rozwój kultury ogólnonarodowej. Niestety, mało wiemy o życiu prowincji, szczególnie tej dalekiej, zapadłej, szereg ważnych dla kultury spraw ulega zapomnieniu prawie następnego dnia. Nie lubimy pisać, korespondenci prasowi mogą przyjechać tylko od czasu do czasu, więc — konia z rzedem za jedną uciążliwą kartę któregoś z lubelskich czasopism o sprawach kulturalnych prowincji, regionu!

Lubartów jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma własne wydawnictwo, a prasa lubelska sporo zamieszcza notatek i artykułów z mego środowiska. To samo można powiedzieć o Lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Mimo to jest jeszcze szereg wydarzeń godnych wzmianki, które przebrzmiały niemal bez echa. Oto kilka wybranych przykładów:

1. Dnia 16.XI.1950 r. przewodniczący MRN ob. Józef Dziurkowski dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej dla uczczenia 111 rocznicy urodzin Klemensa Junosza Szaniawskiego w Lubartowie przy ul. Kościuszki nr 6. Szaniawski w tym domu spędził dzieciństwo i młode lata, pisał powieści o Lubartowie i poruszał te zagadnienia, które obecnie realizuje MRN przy udziale całego społeczeństwa. Uroczystość ta odbyła się w obecności członków Prezydium, radnych, młodzieży szkolnej i mieszkańców miasta.

2. W grudniu 1950 r. w styczniu 1960 r. staraniem Powiatowego Oddziału ZNP zostały wygłoszone odczyty regionalne na rejonowych konferencjach nauczycieli w Kamionce i w Niemcach. Odczyty wygłosili: J. Lulek — „Działalność Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Lubartowskiej (trudności, osiągnięcia, zamierzenia)”, A. Owskowski — „Kształcąca i wychowawcza wartość badań regionalnych w pracy szkolnej”, K. Skaruch — „Współpraca nauczycieli ze Stowarzyszeniem w zbieraniu zbiorów muzealnych i w pracy badawczej”. Odczyty te wzbudziły duże zainteresowanie wśród nauczycieli, którzy w dyskusji podali szereg cennych informacji i wskazówek ze swojego środowiska.

3. Dnia 20 marca br. odbył się w sali PRN w Lubartowie eliminacje powiatowe VII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów. Udział brało 39 kandydatów z Lubartowa i powiatu. Konkurs wykazał brak w naszym powiecie instruktorów, którzy by podnosili kulturę żywego słowa. Świadczą o tym fakt, że około 1/4 recytatorów wypowiedziała określoną ilość słów na sekundę, recytowała utwory bez interpretacji tekstu, część nie zdołała opanować pamięciowo bardzo długich fragmentów

prozą lub wierszem albo recytowała „w górnej, wysokiej tonacji” głosowej. Tylko 12 osób było traktowane jako właściwych uczestników konkursu. W sędziach konkursowym dawał się odczuwać brak specjalisty z Lublina i dlatego ocena kandydatów może nie była trafna. Wszyscy uczestnicy otrzymali upominki książkowe „za udział w konkursie”. Sądzą, że takie szablonowe potraktowanie sprawy nie mobilizuje młodzieży do pracy nad sobą. Pięszę te słowa jako uczestnik sądu konkursowego — „I sam pełen winy”.

4. Dnia 1. 2. 14 kwietnia 1960 r. Kółko Polonistyczne Liceum Ogólnokształcącego w Lubartowie zorganizowało piękny, starannie przygotowany „Wieczór Literacki ku czci Słowackiego”. Po referacie i wygłoszeniu „Testamentu” — młodzież odegrała na scenie „Balladynę” w opracowaniu i reżyserii prof. mgr K. Matiasiak i mgr Wandy Lisiek, w dekoracjach wykonanych pod kier. prof. K. Skarucha. Była to dość śmiała impreza, jednak przy dużym zbiorowym wysiłku kierownictwa i młodzieży (ok. 40 osób) cnieś była na dobrym poziomie. Publiczność — pierwszy zbiorowy recenzent i krytyk — w dużym skupieniu śledziła przebieg widowiska trwającego 3 godziny i wyrażała młodym aktorom dużo uznania i sympatii. Wieczór Literacki w którym uczestniczyło około 1000 widzów, był nie tylko uczczeniem 151 rocznicy urodzin Słowackiego, lecz i rozpoczęciem uroczystości zwinianych z Tytułem Państwa Polskiego. Domagano się dalszych przedstawień, lecz niestety w grę wchodziła sala teatralna, ciągle zawalona zbiorami, naradami, próbami różnych zespołów. Przeznaczenie sali Prezydium PRN w Lubartowie wyłącznie dla pracy zespołów widowiskowych i w ogóle dla Domu Kultury, a nawet Domu Młodzieży, stała się w ostatnim czasie palącym problemem.

5. W zakresie akcji odczytowej warto zaznaczyć, że dość często odwiedzają Lubartów prelegenci lubelscy. Np. z ramienia Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza wygłosili bardzo interesujące prelekcje (w lutym, w marcu br.) dla młodzieży kl. X i XI, z zakresu literatury: mgr Stanisław Fita, mgr Ireneusz Opacki, dr Jerzy Star-nawski.

Interesującym przejawem życia kulturalnego w Lubartowie jest amatorski chór mieszany im. Józefa Rafałskiego, pod kier. Stefana Dukiego. Zespół ten ma charakter czysto amatorski, skupia ok. 40 osób młodzieży i starszych miłośników śpiewu. Po prze-

szło rocznym istnieniu przeszedł już swój kryzys, bo z 50 osób zostało kilkanaście, potem szeregi powiększyły się do 40 osób, a obecnie tworzy dość zwartą grupę, ambitną i mającą poczucie odpowiedzialności nie tylko za istnienie, ale i za poziom artystyczny zespołu.

Ruch kulturalny na wsi skupia się na terenie szkoły, która stwarza korzystne warunki dla organizowania imprez i uroczystości.

Akcją budowy nowej szkoły żyje szereg wsi powiatu lubartowskiego. Dnia 9.IV. br. odbyła się czwarta w powiecie uroczystość (od 5.XII.1959 r.) wmurowania aktu erekcyjnego w nowobudowanej szkole, — w ujęciu literackim i artystycznym członków Stowarzyszenia Mił. Ziemi Lubartowskiej.

Po Szczekarkowie (szkola już czynna), Ostrówku i Wyprniście — Ludwików obchodził taką uroczystość dnia 9.IV.60 r. Obserwowałem radość i zapal ludności w pracy nad budową szkoły, która wkrótce stanie się ośrodkiem kulturalnym wsi.

Słowa te, pisane na gorąco, są może zbyt optymistyczne, trzeba jednak stwierdzić, że ruch kulturalny w okresie uroczystości związanych z Tytułem Państwa Polskiego przysięga na siłę nie tylko w dużych miastach, ale i w małych ośrodkach miejskich i wiejskich.

Być może, że wkrótce termin „zapadła prowincja” zostanie ceremonialnie przeniesiony do muzeum.

Józef Lulek

Z życia szkół lubelskich

Ostatnio w Lublinie odbył się przegląd zespołów recytatorskich z 10 szkół podstawowych naszego miasta. Imprezę tę należy uznać za udaną, zaś poziom zespołów był dość wysoki, o czym świadczy fakt, że tylko jeden zespół otrzymał ocenę negatywną. Najlepiej zaprezentowały się 2 zespoły recytatorskie ze szkół: Nr 1, 2 i 31.

Kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego mgr Edward Zachajkiewicz wręczył w kwietniu br. nominacje nowym dyrektorom 5 liceów ogólnokształcących, a mianowicie: Jadwidze Nieśieloruk i Marii Zielińskiej z Lublina, Marcinowi Kosińskiemu z Koeka, Janinie Trybów z Łukowa i Janowi Wielicze z Włodawy.

Niedawno w Ognisku ZNP Nr III, którego kierownikiem jest ob. Mieczysław Bakalarz, odbyła się konferencja rejonowa poświęcona zagadnieniom rewizjonizmu zachodniemieckiego. Interesujący referat na ten temat wygłosił prelegent TRZZ — Kazimierz Cimek. Żywa dyskusja podkreśliła konieczność wprowadzenia problematyki Ziemi Zachodnich i rewizjonizmu zachodniemieckiego do programów nauczania. Warto zachęcić i inne ogniska, by zorganizowały podobne imprezy, tym bardziej, że TRZZ może zapewnić prelegentów.

W PGR Machnów odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę nowej Szkoły 1000-lecia. Zbudują ją ze składek robotnicy rolni z całej Polski, którym przykład dał pracownicy miejscowego PGR, deklarując wkład w postaci 56 tys. zł. Nową szkołę otrzyma także wieś Chłaniów w pow. krasnostawskim, gdzie już od półtora roku działa Społeczny Komitet Budowy Szkoły.

Elżbieta Rosiak

o jakie takie urządzenie się wraz z rodzicami na ziemiach przydzielonych z parcelacji gruntów poddziedzicowskich, młodzież ta, (nie wszystkie oczywiście) tak mało, albo i wcale nie nie słyszała o jakiejś tam Kulturze. Kulturze duchowej, bo wszelkich pozorów tej zewnętrznej kultury, owszem, owszem, starają się przestrzegać. To jednak już jest coś.

Pocieszającym objawem jest fakt zamiłowania młodzieży, ale tylko męskiej, do sportu, a w szczególności do piłki nożnej.

Należy też wspomnieć pracę zespołu muzycznego przy Fabryce Mebli, pod kierunkiem ob. Wesolowskiego. Zespół ten, złożony w większości z „wieloletnich” członków, z równym zapałem grywa różne marsze w pochodach 1-majowych, jak i w procesjach religijnych czy też oddając ostatnią przysługę komuś odprowadzanemu na wieczny spoczynek. Bardzo z nim jest wesoło w Zwierzyniecu. Na publicznych zabawach dochodowych grają również „wieloletnie” kontredanse i sztajery, ale grają też modne calypso i inne starzejące się już nowości.

Ma Zwierzyniec jeszcze jedną atrakcję, którą można nazwać centralną. Tym centralnym punktem rozrywki jest kino, placówka prowadzona przez Związek Zawodowy. Każdy niemal seans zbiera komplet widzów. Dobór filmów nie bardzo staranny. Często się powtarzają. Publiczność sarka, urąga, ale idzie, no bo nie ma gdzie wteżemem posiedzieć. Kino mieści się w lokalu świetlicy Tartaku, w sali tej również i zabawy odbywają.

Świetlica, od dziesięciu miesięcy pozawiana życzliwej opieki świetlicowego, przedstawia bardzo smutny

NOTY

OBYDĄ! A jednak Caryla Chessmana stracone! Dwanaście lat strażdliwej meki psychicznej pod grozą śmierci. Dwanaście lat walki o życie i co za hart ducha! Ten człowiek w tych warunkach tworzył i wydawcy ubiegali się o jego książki. Business. Do końca twierdził, że był niewinny. Ohoj, czy tak, czy nie. Natomiast faktem jest, że tak zwana litera prawa dokonała zbrodni na nieszczęśliwym człowieku. Apelację złożoną do sądu najwyższego stanu San Francisco odrzucono: przeważał jeden głos (1:3). A egzekucji dokonano z całym cywilizmem: prasa podaje, że „przez szybę komory gazowej przysiadł do 60 osób. Agencje zachodnie opisały dla brukowej prasy bardzo szczegółowo agonie Chessmana”.

KSIĄŻKA O JESIENINIE. Nakładem Uniwersytetu Kijowskiego (1959) ukazał się szkie krytyczno-biograficzny A. W. Kulińca „Sergiusz Jesienin”. Czytając go z dużym zainteresowaniem, poznajemy wiele nieznanych dotąd szczegółów dotyczących życia i twórczości poety. M. in. dowiadujemy się, że „Jesienin wiele pracował nad każdym nowym wierszem, długo „nosił go” w sobie, a potem męczył się nad rękopisem, krescił, poprawiał, porzucał pomysły i znowu do niego wracał. Jeden z przyjaciół poety tak opowiadał o tej pracy: „Jego nad wierszem; zazwyczaj pisał do 20-30 brulionów, niepodobnych jeden do drugiego, — pierwszy rzut z ostatnią redakcją wiersza nie miał nie wspólnego”. Zdumiewa nas ogromna pracowitość poety, o którym sądziłmy raczej, że rzucił swę strony na papier bez poprawek, spontanicznie. A tymczasem jak on je szlifował! W wielkiej książeczce Kadince znalazły się trzy stronki poświęcone omówieniu polskich przekładów Jesienina. Autor bardzo dobrze orientuje się w tej sprawie. Wspomina o tłumaczeniach Zyraniaka, Brunona Jesieńskiego, Broniewskiego, J. Łobodowskiego (wie o książce „E przyjaciel”), C. C. B. B. K. A. Jaworskiego (kilka ciepłych linijek o „Kamieniu” i przekładach z poezji rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej) i in. Najwięcej uwagi poświęca tłumaczeniom Broniewskiego.

TRZYDZIESTOLECIE PRACY POETY LUBELSKIEGO. Jan Szczawiej, „emigrant lubelski”, autor „Miłości tworzącej” (1930), „Galezi czeremchy” (1932), „Antologii polskiej poezji podziemnej” (1957), „Owocu dobrego i złego” (1959), poeta i publicysta, redaktor „Warszawy” i współredaktor „Orki”, obchodził 30-lecie swej pracy literackiej. W związku z tym 5 maja br., staraniem Klubu Dyskusyjnego Warszawskiego Komitetu ZSL, Związku Literatów Polskich i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, odbył się wieczór poezji Szczawiej. Stowo wstępne wygłosił J. N. Miller, wiersze recytowali artyści scen warszawskich.

BYŁO DO PRZEWIDZENIA. Już piszący w Polsce nauczyli się mówić i pisać poprawnie zestawienia tych dwóch słów związanych ze świętem majowym: w przemówieniach słyszymy i na transparentach czytali — Pierwszy Maj. Tylko „Przekrój” oczywiście na pierwszej stronie n-ru 756 wstawia: „Niech żyje Pierwszy Maj!” Ten sam błąd czytamy w dacie pod tytułem. Idem na str. 2 i 4. Granie na nerwach czytelników, upór, indywidualizm? Nie, po prostu — bezhołowie! Bo na str. 4 pod tytułem: „1 Maj 1960 — Huta im. Lenina obchodziła 10-lecie” wszystkie „maje” historyczne dla Nowej Huty wyszczególnione są w podtytułach poprawnie — 1 Maja 1950, 1 Maja 1951 itd. aż do obecnego roku włącznie. Jakby to powiedział dobrotliwy „wujcio” z „Muzyki i aktualności” Polskiego Radia? Znowu popisuje się nieuleczalny „partaczonio”...

— kaj —

A Zwierzyniec dalej

(Dokończenie ze str. 2)

jaństwo w naszym Państwie. Kradzieże, oszustwa, morderstwa są na porządku dziennym i w każdej gazecie o tym się czyta.

Czy w takich potokach wypijanego alkoholu może być mowa o Kulturze — takiej z dużej litery?

Czy był ktoś na tyle odważny, kto by usiłował jakoś temu przeciwdziałać? Tak, był i jest taki, który jak Don Kiszot podjął walkę z wiatrakami; na walnych zebraniach w Zwierzyniecu, a następnie na Powiatowym Zebraniu Gminnych Spółdzielni w Zamościu wolał wielkim głosem: „Zamknijcie tę ohydny knajpę w centrum osady, knajpę, którą sami bawali nazwali „ogiernią”, bo ona tylko wstyd nam przynosi”. A władze Spółdzielni na to odpowiadają: „Tak, ale ona i dochodzić ładny przynosi...”. A to tak ładnie przed członkami na walnym zebraniu pochwalili się, że Spółdzielnia tyle a tyle dochodu dała za ubiegły rok.

Tym Don Kiszotem był właśnie autor niniejszego artykułu. Wolalem, aby blisko milionowy dochód przeznaczyć na budowę łaźni, której wielki brak w Zwierzyniecu się odczuwa. A to też kultura. Nie trzeba dowodzić, że czystość to zdrowie, a zdrowie to skarb społeczny. Bo gdy będziemy czysti fizycznie, wielu z tych, którzy zarząga dobrodziejstwa wody, myśla i gorącej pary, odwróci się z obrzydzeniem od

brudnych wyziewów knajpianych.

Nie przypominam sobie kto to napisał, ale jakże trafnie ujął sedno sprawy w wierszyku, który tu pozwałam sobie zamieścić:

Są dwa poważne powody,
dla których Polska mi zdrzyła —
za dużo święconej wody —
za mało świętego mydła...

Jeżeli teraz przejdę do omówienia tego rodzaju Kultury, która przejawia się w zespołowej pracy wznoszenia ducha ku wyżynom sztuki, a w szczególności sztuki teatralnej, śpiewawczej czy tanecznej, to ze smutkiem muszę stwierdzić, że w tej dziedzinie nic się u nas w Zwierzyniecu nie dzieje.

Na przełomie 1956 i 57 roku miejscowy organista p. Kuczyca zorganizował przy Fabryce Mebli dość pokaźny zespół chóralski. Cóż z tego, kiedy jego żywot okazał się bardzo krótki. Rozsypano się wszystko po paru miesiącach, o! po prostu bez powodu.

A młodzieży jest tutaj dużo, zresztą tak jak i wszędzie. Nie da się jednak ująć w karby organizacyjne, chyba że przynosiłoby to jakieś korzyści materialne.

Jest to na ogół młodzież wychowania wojennego. Odrwana od normalnego trybu życia w walkach o zachowanie swego istnienia, o zdobycie kęsa chleba, o odbudowanie zgłiszcz,

obraz, nie mający nic wspólnego z Kulturą.

Ubiegłego roku, na wiosnę, miał być przeprowadzony kapitalny remont budynku i sali kinowej, lecz skończyło się na zamiarach i na dobrych chęciach Tartaku. Czy w tym roku będzie odnowiony lokal — trudno przewidzieć. Związki są zdania, że remont powinien przeprowadzić Tartak. Kierownictwo zaś Tartaku odpowiada: „Przepraszam, Wy bierzecie pieniądze za wstępy, to odremontujcie sobie lokal”. Publiczność tymczasem siedzi jak w brudnej szopie i z rezygnacją czeka na odrobinę kulturalnego urządzenia sali.

Trzeba raz z tym stanem rzeczy skończyć, bo młodzież, patrząc na to publicznie tole owane niechujstwo, przyswyczają się do tego, sądzi, że lepiej nie potrzeba. Kulturę widzi w obrazach na ekranie, a lokal, sala — to także sobie rodzinne podwórko...

Trzeba długiego, energicznego wysiłku, uporczywej pracy, aby zaszereżować w młodocianych umysłach pragnienie wznoszenia się na wyższy stopień życia osobistego i społecznego. Aby nastąpiło zrozumienie, że mają się przygotować do pełnienia tych funkcji politycznych, społecznych i gospodarczych, jakie w spadku po starszej generacji będą musieli objąć w naszej Polsce Ludowej.

Jan Ogórkiewicz

Dwutygodnik literacki „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca. Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48 Zamówienia i przedpłaty przyjmuje wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 33,60; rocznie zł 67,20. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”. Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin nr Zam. 1879. 2.V.1960. S-2.